



***MARION LENNOX***



***SZAFIROWA ZATOKA***

## ***ROZDZIAŁ PIERWSZY***

Chyba na całym świecie nie było piękniejszego zakątka niż Sapphire Cove w Australii. Było to także wymarzone miejsce na miodowy miesiąc dla każdej pary.

Szkoda więc, że tym razem zabrakło panny młodej!

Sapphire Cove, czyli Szafirowa Zatoka. Trudno o lepszą nazwę dla miasta położonego w zatoce nad szafirowym morzem.

Ryan popuścił nieco pedał gazu i rozejrzał się wokół. Okolica jak z bajki! Odległe wysepki na horyzoncie stanowiły doskonałe tło dla jachtu o białoczerwonych żaglach. Tropikalna roślinność strzelała w górę pomiędzy kokosowymi palmami, rosnącymi wzdłuż drogi. Wiał ciepły wiatr przesycony słońcem i zapachem morza.

Wszystko jest naprawdę jak z bajki.

Matka Ryana była jednak zawsze odmiennego zdania.

- Szafirowa Zatoka leży na końcu świata - oznajmiła, zabierając syna siedemnaście lat temu do Stanów. Ryan miał wówczas piętnaście lat, a małżeństwo jego rodziców właśnie się rozpadło. - I żeby ci tylko nie przyszło kiedyś do głowy dać się ojcu namówić do powrotu.

Ojciec nie próbował nigdy wpłynąć na życie Ryana i chłopak zapomniał wkrótce o Australii. Na pomysł spędzenia miodowego miesiąca w północnej części Queenslandu wpadła jego narzeczona Felicity, która zdziwiła się, słysząc, że Ryan nie widział swego ojca od siedemnastu lat.

- Nie miałam pojęcia, że masz australijskie obywatelstwo! W listopadzie mam konferencję na Hawajach. Co byś powiedział, gdybyśmy spotkali się zaraz po jej zakończeniu w Australii? Przed moim przyjazdem będziesz mógł odwiedzić ojca. Możemy się tam pobrać i odbyć potem podróż poślubną.

- Powinniśmy razem do niego pojechać - zaprotestował Ryan. - Mogę przylecieć w dzień po zakończeniu twojej konferencji.

Felicity uniosła do góry starannie umalowane brwi i bez słowa sprzeciwu przystała na jego propozycję. W końcu Ryan był niewątpliwie dobrym kandydatem na męża. Wysoki i przystojny, a przy tym zapowiadał się na znakomitego chirurga.

- Widzę, że boisz się spotkać z ojcem sam na sam - zakpiła. - Pojadę więc z tobą, skoro ci tak bardzo zależy.

Nie dotrzymała jednak obietnicy. Łatwo się zresztą było domyślić podobnego zakończenia. Felicity nie gustowała bowiem w sentymentalnych spotkaniach rodzinnych i gdy tylko Ryan wylądował rano w Cairns, dowiedział się, że narzeczona nie odleciała jeszcze z Hawajów.

- Muszę, naprawdę muszę zostać na zebraniu po konferencji. Ludzie, którzy tam będą, mogą mi ułatwić karierę. Przyjadę, gdy tylko będę mogła. Spotkamy się w Szafirowej Zatoce.

No to fajnie, pomyślał Ryan.

- A niech to diabli wezmą! - zaklął i zapominając na chwilę o pięknie swego rodzinnego miasta, silnie nacisnął pedał gazu.

Popułnił błąd brzemienny w skutki. Z bocznej ścieżki wyjechał rower, zajeżdżając mu niespodziewanie drogę. Ryan nacisnął gwałtownie na hamulec, było jednak za późno.

Rower znalazł się pod samochodem.

Ryanowi zdawało się przez chwilę, że świat wokół niego przestał istnieć.

Bywają w życiu człowieka chwile tak straszne, że nie sposób ich potem opisać ani odtworzyć z pamięci. I właśnie coś takiego przydarzyło się teraz Ryanowi.

Przez dwie sekundy siedział jak skamieniały. Zdawało mu się, że minęły wieki od chwili, gdy samochód się zatrzymał. Były to jednak tylko dwie sekundy.

Wysiadł potem z samochodu, a oczom jego przedstawił się straszny widok. Pod samochodem zobaczył rower, a raczej pogiętą kupę żelastwa. Przez chwilę myślał z przerażeniem, że jest tam także rowerzysta.

Dzięki Bogu, nie było go tam, a raczej nie było tam jej...

Dziewczyna, która jechała rowerem, leżała skulona na skraju drogi, nie dając znaku życia. Nie żyje...?

Ryan, nieprzytomny z przerażenia, podszedł bliżej. W tej właśnie chwili dziewczyna poruszyła się lekko i jęknęła. Jęk był ledwo słyszalny, wystarczyło to jednak, by Ryan od razu oprzytomniał i odzyskał zdolność działania.

- Proszę się nie ruszać - rzucił krótko, klękając na żwirze przy dziewczynie. Może mieć przecież uszkodzony kręgosłup albo rany głowy... Zdjął jej delikatnie kask i z ulgą stwierdził, że na krótkich ciemnych włosach nie ma śladu krwi. - Proszę się nie ruszać - powtórzył, na próżno starając się ukryć zdenerwowanie.

Odpowiedziała mu absolutna cisza. Dziewczyna leżała nieruchomo i Ryan zaczął nawet przypuszczać, że musiało mu się coś przywidzieć. Czy to możliwe, że się poruszyła?

Zauważył po chwili, że oddycha. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat. Była drobna i szczupła, miała maleńki, nieco piegowaty nosek i krótko ostrzyżone, kręcone, czarne włosy. Nosila szorty i trykotową bluzeczkę z napisem „Nie bój się”. Pomyślał sobie, że jest ładna.

Trzeba jednak zobaczyć, jakie odniosła obrażenia. Dotykał jej delikatnie, bał się jednak odwrócić...

- Czy mogę się trochę przesunąć? - usłyszał niespodziewanie. - Nie mogę już wytrzymać. Żwir wbija mi się w policzek.

Ryan zaniemówił z wrażenia, szybko jednak ocknął się i odetchnął z ulgą. A więc nie ma uszkodzeń mózgu. Trzeba jednak sprawdzić, czy nie ma innych.

- Chwileczkę...

- Kręgosłup mam nienaruszony, to pewnie pana niepokoi...

- Dziewczyna miała ciągle zamknięte oczy i nie poruszała się.

- Czucia też nie straciłam.

Mówiła to znacznie mniej pewnym głosem niż dotychczas. W pewnej chwili głos jej nawet zadrżał. Ryan dotknął delikatnie jej twarzy, chcąc dodać otuchy.

- Wszystko będzie dobrze - mówił, gładząc jej włosy. - Proszę się nie bać - powtarzał, przemawiając jak do małego dziecka. - Może mi pani zaufać, jestem lekarzem...

Otworzyła oczy i spojrzała na niego.

Poznał ją od razu. Poznałby ją nawet na końcu świata... Nie zapomniał nigdy jej oczu, które pokpiwały sobie z niego, gdy byli dziećmi. Oczu, które przez całe lata nie dawały mu spokoju.

Abbey Rhodes miała jedenaście lat, gdy Ryan wyjeżdżał z Szafirowej Zatoki. Była od niego młodsza o cztery lata, a jego matka szczerze jej nie lubiła.

- To przecież hołota - mawiała, widząc ich razem. - Posłuchaj tylko - tłumaczyła synowi - jej matka nie ma męża. Co więcej, nigdy go nie miała. Jest biedna jak mysz kościelna, a zarabia na życie, szorując innym podłogi. Niech ona sobie tylko nie wyobraża, że ty masz czas rozmawiać z jej córką! Dlatego właśnie stąd wyjeżdżamy. To nie jest odpowiednie dla nas środowisko; tu nie ma towarzystwa.

W Szafirowej Zatoce rzeczywiście nie było „przyzwoitego” towarzystwa, ale Ryan ciepło wspominał panujące tam stosunki. Miejscowa ludność odnosiła się jednakowo do wszystkich mieszkańców miasteczka. Nie robiono różnicy między imigrantami, biedotą, a Celią Henry i jej synem. Abbey zaś nie czuła się bynajmniej gorsza od Ryana, może nawet dostrzegała swą wyższość.

- Jeżeli sobie myślisz, że tylko ty możesz zostać sławnym na cały świat lekarzem, to się mylisz - oznajmiła mu kiedyś, zadzierając dumnie do góry głowę. - Ja też to potrafię; nie jestem gorsza od ciebie.

Matka Abbey była sprzątaczką u Celi Henry, a dziewczynka chodziła jak cień za Ryanem, dopóki jego matka nie położyła temu kresu, zabierając chłopca z Szafirowej Zatoki.

Nie zapomniał nigdy oczu Abbey, jej cudownie pięknych oczu... Błyszczących i błękitnych, podobnych do gwiazd, lśniących cudownym blaskiem, patrzących przed siebie śmiało i otwarcie.

Kiedyś były one ucieleśnieniem piękna - teraz jednak...

Sądził, że dziewczyna, którą potrafił, ma nie więcej niż dwadzieścia lat. Pomylił się, oczywiście. Abbey musi mieć przecież dwadzieścia siedem lub osiem lat. Mówiły o tym także jej oczy: tworzyć się zaczynały wokół nich delikatne zmarszczki, zapewne od częstego śmiechu. Ale czy tylko od śmiechu? Może sprawiło to cierpienie?

Patrzyła na niego przez chwilę.

- To ty? - wyszeptała zdumiona.

- Tak, to ja - odparł, dotykając znowu delikatnie jej włosów. - To ja - powtórzył. - Muszę nareszcie zobaczyć, co ci jest.

- Jechałeś za szybko!

Powiedziała to dokładnie takim samym tonem, jak mówiła do niego przed laty:

- Idziesz za szybko! Poczekaj! Nie mogę za tobą nadążyć. I zawsze wtedy na nią czekał.

- Chcesz, żeby mnie aresztowali? - uśmiechnął się. - Jestem przecież lekarzem, mogę się jeszcze na coś przydać. Pozwól się zbadać, zanim mnie zakują w kajdanki.

- Coś mi się wydaje... - zaczęła niepewnie, siadając przy pomocy Ryana. - Wydaje mi się... - skrzywiła się z bólu - że żwir wbił mi się jednak w policzek.

- Rzeczywiście.

Ryan przyglądał się Abbey, nie dostrzegając prawie zranionego policzka. Zapowiadała się już na piękność, mając lat jedenaście, nie spodziewał się jednak, że będzie aż tak piękna.

- Nie wygląda to najgorzej - pocieszył ją. - Oczyszczę ranę i nie będzie żadnej blizny. Co cię poza tym boli?

- Noga...

Znowu się skrzywiła z bólu. Otoczył ją ramieniem, a ona dotknęła twarzą jego koszuli. Bliskość Ryana podniosła ją na duchu. Przed laty bywało tak nieraz. Wystarczyło, że pojawił się przy niej, a czuła się od razu pewniej.

- Noga jest zwichnięta, zobacz tylko - szepnęła. - Rzepka uległa przemieszczeniu.

„Rzepka uległa przemieszczeniu...”

Tak może się odezwać tylko osoba mająca wykształcenie medyczne. Ktoś inny powiedziałby po prostu, że noga jest złamana albo że jakoś dziwnie wygląda.

Pewnie jest pielęgniarką, pomyślał. Na pewno się do tego świetnie nadaje; pamiętał ją dobrze jako pogodną, pewną siebie dziewczynkę, która szła śmiało przez życie.

- Zaraz zobaczymy.

Jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że noga jest co najmniej zwichnięta. Dobrze będzie, jeśli nie ma złamania. Podniósł wzrok i dostrzegł w oczach Abbey ból.

- Tak mi przykro. Nie mam przy sobie morfiny, ale zaraz cię zawiozę do szpitala.

- Jakoś sobie poradzę - szepnęła, usiłując nachylić się do przodu i położyć rękę na nodze. - Spróbuję ją jakoś nastawić...

- Nastawić? Sama chcesz nastawić sobie nogę? - wykrzyknął, chwytając ją za rękę. - Co ty w ogóle opowiadasz?

Abbey zagryzła wargi i przymknęła oczy. Ból stawał się nie do zniesienia.

- Pozwól mi spróbować. Muszę...

- Nie rozumiem... - Potrząsnął głową, trzymając ją mocno za rękę. - Czy jesteś pielęgniarką?

- Prawie zgadłeś - odrzekła, patrząc mu śmiało w oczy. - Nigdy mnie nie traktowałeś poważnie, kiedy mówiłam, że zostanę lekarzem. Jest tak, jak sobie postanowiłam. Pracuję tu jako lekarz.

- Jesteś...

- Wybacz mi, że będę niegrzeczna - mówiła z wyraźnym trudem - ale może nastawmy najpierw moją nogę, a potem będziemy omawiać swoje osiągnięcia zawodowe.

O nastawianiu nogi bez sporej dawki morfiny i środków uspokajających nie mogło być jednak mowy. Rzepka była mocno przemieszczona i Abbey miała niesamowite szczęście, że nie nastąpiło złamanie stawu kolanowego.

- Morfinę mam w torbie - oznajmiła.

Torbie na szczęście nic się nie stało i Ryan wydobył ją bez trudu spod roweru. Nareszcie mógł Abbey pomóc.

Wstrzyknął jej podskórnie w udo morfinę i zabierał się już do nastawienia rzepki, w ostatniej jednak chwili zrezygnował. Należy zrobić najpierw zdjęcie rentgenowskie.

Abbey milczała, gdy Ryan bandażował jej nogę. Była zupełnie bez sił i Ryan zaczął się niepokoić, czy samochód nie uderzył jej jednak w głowę. Unieruchomił kość jak mógł najlepiej za pomocą bandaża i gazet, które miał w samochodzie, a potem wziął Abbey na rękę.

- Dziękuję - szepnęła, obejmując go za szyję, aby łatwiej mu było ją unieść.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekł niepewnym głosem.

Gdy patrzył na Abbey, zdawało mu się, że ma przed oczami całe dzieciństwo. Wspomnienia oblały go jak fala. Przypomniał sobie ludzi, których niegdyś kochał; sprawy i osoby, od których oderwała go matka.



Abbey...

- Jedziemy - odezwał się w końcu, o wiele bardziej szorstko niż zamierzał. - Musisz nareszcie trafić do szpitala. Pewnie macie tu teraz szpital i jest jeszcze jakiś lekarz poza tobą?

- Szpital jest, ale obowiązuje w nim zasada: „Lekarzu, lecz się sam”.

Nie odpowiedział. Upewnił się tylko, że noga Abbey jest dobrze unieruchomiona, i zaniósł ją ostrożnie do samochodu. Przyszło mu to bez trudu, bo była lekka jak piórko.

Trzymała go mocno za szyję, obejmując gestem pełnym zaufania, a on czuł się dziwnie i nieswojo. Dlaczego z powodu tej dziewczyny zaczęły nagle wracać do niego uczucia i zdarzenia, o których, jak sądził, dawno już zapomniał?

- Co ty sobie w ogóle myślisz? - spytał szorstko. - Przecież nie możesz sama nastawić nogi!

- Skąd wiesz? - powiedziała cicho. - Myślę, że nie ma złamania. Trzeba tylko zrobić prześwietlenie, a potem zobaczymy.

- Chyba żartujesz.

- Wcale nie...

Abbey sadowiła się właśnie w tyle samochodu, gdzie Ryan ją położył, on zaś przytrzymał jej nogę, układając na siedzeniu.

- W zeszłym roku sama sobie założyłam szwy na ranę przedramienia - dodała; w jej głosie wyczuł chęć przekonania go o swej niezależności. - Założyłam dziesięć szwów, bez niczyjej pomocy. Dlaczego więc nie miałabym nastawić sobie nogi? A teraz chciałabym jeszcze odwiedzić pacjentkę, zanim pojedziemy do szpitala. Nie masz chyba nic przeciwko temu? - spytała.

Morfina zaczęła już najwyraźniej działać i ból zelżał.

- Odwiedzić pacjentkę?

- Tak. Jechałam właśnie do pacjentki - wyjaśniła stanowczym głosem.

Ryan nie posiadał się ze zdumienia.

- Jechałaś z wizytą domową na rowerze?

- Tak. A cóż w tym dziwnego? - spytała zaczepnie. - Jest piękne niedzielne popołudnie, w szpitalu nie ma dziś żadnych ciężkich przypadków, pani Miller nie jest poważnie chora, a jadąc rowerem, oszczędzam benzynę.

- Posłuchaj... - Usiadł za kierownicą i odwrócił się do Abbey. Miała zakrwawioną, bladą twarz, a napis na koszulce zdawał się rzucać wyzwanie, podobnie jak czyniła to teraz Abbey.

- Mam nadzieję, że nie mówisz tego poważnie? Nie wybierzesz się chyba z wizytą, dopóki sama nie trafisz do szpitala?

- Chciałabym to załatwić, dopóki działa morfina - odrzekła poważnie. - Przez dzień lub dwa będzie mi się pewnie trudno poruszać, a Marg Miller czeka na mnie.

- A co jej jest? Mówiłaś przecież, że nic poważnego.

- Ma wrzód. Trzeba jej zmienić opatrunek.

- Przecież może cię w tym wyręczyć pielęgniarka! Chyba nie jesteś jedyną osobą w całej okolicy, która jest w stanie udzielić pomocy medycznej?

- Mamy nawet trzy pielęgniarki - zdenerwowała się Abbey

- tylko że Marg chce się widzieć właśnie ze mną.

- Ale nie natychmiast.

- Może i nie - odparła z namysłem - ale coś jej dolega. I to nie wrzód. Nie prosiłaby mnie o wizytę, gdyby się nie bała, nie była niespokojna. Musi mieć jakiś problem.

Westchnął ciężko. Miał za sobą daleką drogę z Nowego Jorku, przed odlotem do ostatniej chwili pracował. Właśnie przeżył najstraszniejszą chwilę w swoim życiu; myślał przecież, że zabił człowieka, a Abbey proponuje mu wizytę u chorej, której trzeba zmienić opatrunek, choć może to zrobić pierwsza lepsza pielęgniarka.

- Wykluczone - oznajmił stanowczo. - Jako lekarz powinnaś znać podstawowe zasady selekcji chorych. Mam dwie pacjentki. Jedna z nich ma

przemieszczoną rzepkę, przy czym nie wykluczam złamania, poharataną twarz i być może wewnętrzne obrażenia, do tego jeszcze może nastąpić u niej opóźniony wstrząs. Drugiej pacjentce należy zmienić opatrunek. Przykro mi więc, ale nie ma wyjścia; musimy pojechać do szpitala.

Nie udało im się to jednak. Abbey dała się wprawdzie przekonać Ryanowi (nie mogła przecież sama wyruszyć do Marg Miller), ale w połowie drogi do szpitala zadzwonił telefon komórkowy.

- Doktor Wittner - odezwała się Abbey, przytykając słuchawkę do ucha. A więc jest lekarzem.

Ale... przedstawiła się jako doktor Wittner. Ryan po raz pierwszy słyszał to nazwisko. Przecież Abbey nazywała się Rhodes?

- W jakim jest stanie? Ciągłe jest na plaży? - ustalała pewnym siebie głosem. - Wezwijcie natychmiast karetkę. Nie muszą po mnie przyjeżdżać, bo jestem teraz w samochodzie, wszystko ci potem opowiem... Tak, zaraz tam będziemy, jeszcze przed karetką. Zadzwoń do ratowników na plaży i każ im polewać chłopca bez przerwy octem. Przygotuj wenflon i sprawdź, czy mają w karetkce antytoksynę, tlen i adrenalinę. - Pochyliła się nieco do przodu i dotknęła ramienia Ryana. - Bardzo cię proszę, zawróć.

Zwolnił natychmiast.

- Co się stało?

- Drapieżna meduza zaatakowała dziecko na plaży. Nie wygląda to dobrze.

- Abbey, posłuchaj... - Ryanowi brakowało zupełnie słów.

- Przecież to ty jesteś pacjentką. Przed chwilą potrącił cię samochód.

- Zapominasz o podstawowych zasadach selekcji chorych - uśmiechnęła się przekornie. - Nie mamy czasu do stracenia, a ja nie mogę sobie teraz pozwolić na chorobę. Jestem jedynym lekarzem w okolicy i jeżeli nie dotrzemy szybko na miejsce, to dziecko może umrzeć. Tak więc proszę cię, zawróć natychmiast albo zostaw mnie tutaj, a karetka zabierze mnie po drodze.

- Ależ...

- Dyskutować będziemy później. Nie zapomniałeś chyba, co oznacza zetknięcie z drapieżną meduzą? Musimy się spieszyć; i tak nie mamy pewności, czy zdołamy dzieciaka uratować.

Przez całą drogę Ryan zastanawiał się nad sposobami ratunku dziecka. Zanim dotarli na miejsce, wiedział, że żadne z nich nie będzie w stanie nic zrobić. Jad tego gatunku był śmiertelny. Prawie niewidoczna meduza miała czułki z parzydełkami, sięgającymi pięciu metrów długości. Atakowała, przysysając się do wszystkiego, czego dotknęła, i wydzielając przy tym śmiertelny jad. Ryan wiedział, że ująć z życiem mogła jedynie ofiara, która otrzymała małą dawkę jadu.

Na szczęście meduzy pojawiały się tylko w czasie upalnych miesięcy letnich, a na plażach zainstalowane były specjalne sieci, które trzymały je z dala od kąpieliska. Turyści ryzykowali jednak, kąpiąc się w miejscach niedozwolonych.

Ryan nie miał pojęcia, czy wynalezione zostały nowe sposoby ratowania ofiar drapieżnych meduz, specjalizował się przecież w innej dziedzinie.

Zerknął do tyłu na Abbey. Jechali szybko, droga była wyboista. Morfina nie będzie działać w nieskończoność. Zdawało mu się, że Abbey znowu pobladła. Trzymał mocno kierownicę, modląc się w duchu, by stan jej gwałtownie się nie pogorszył. Wszystko przecież jest możliwe. Co będzie, jeżeli doznała urazu głowy?

Podstawowa zasada selekcji chorych... Pierwszeństwo ma ofiara zaatakowana przez meduzę...

Wjechali teraz na wzgórze i oczom ich ukazał się biały pas plaży wysadzanej kokosowymi palmami. Nad brzegiem morza Ryan dostrzegł gromadkę ludzi i po chwili wahania zdecydował się zjechać prosto do nich. Miał nadzieję, że uniknie w ten sposób ugrzęźnięcia w piasku.

Zatrzymał się zaledwie kilka metrów przed ludźmi stojącymi przy dziecku. Karetki jeszcze nie było.

Jak łatwo się domyślić, dziecko kąpało się na nie strzeżonej plaży. Publiczne kąpielisko było około dwustu metrów dalej na północ. Przybiegło już stamtąd dwóch ratowników, którzy udzielali chłopcu pierwszej pomocy. Wokół kręcili się przerażeni członkowie rodziny. Widząc nadjeżdżający samochód, wszyscy z ulgą odetchnęli.

- Doktor Wittner przyjechała! - wykrzyknął z radością jeden z ratowników.

Ryan wyskoczył z samochodu, otworzył tylne drzwi, aby Abbey mogła wszystko zobaczyć, i ukląkł przy dziecku.

- Siedź spokojnie - rzucił w stronę Abbey. - Mów tylko, co mam robić.

Chłopiec, który miał około trzynastu lat, leżał nieprzytomny. Na piersi, rękach i nogach miał widoczne pręgi, a tu i ówdzie widniały jeszcze resztki czulek z parzydełkami nadal przyssanymi do skóry.

- Proszę łać na niego ocet... - Abbey wyciągnęła szyję, aby lepiej wszystko zobaczyć. - Ile butelek już poszło?

Nikt jej jednak nie odpowiedział, rozejrzała się więc wokół i dostrzegła na piasku dwie puste butelki i dwie pełne. Zebrała więc siły i podniosła głos:

- Proszę go polać tym całym octem! Trzeba też usunąć wszystkie czułki, i to szybko! Weźcie się do tego wszyscy. Przecież przez czułki dalej sączy się jad! - Abbey zwróciła się teraz do najmłodszej dziewczynki wśród zebranych. - A ty biegnij prędko do budki ratowników i powiedz, że potrzebny jest nam jeszcze ocet. Biegnij i krzycz głośno, że doktor Wittner potrzebny jest natychmiast ocet. Zaraz za budką jest sklep, pobiegnij tam i powiedz, żeby przysłali wszystko, co mają. Ryan, jak on oddycha?

Wstrząs był tak silny, że chłopiec wydawał się bliski śmierci.

- Potrzebna jest antytoksyna... - Ryan przypomniał sobie powoli sposoby leczenia. - Czy jest tu gdzieś antytoksyna?

- Tak - odrzekła pewnym głosem Abbey. - Przywiozą ją w karetce. Żebyś go tylko do tej pory utrzymał przy życiu...

- Mówiąc to, skrzywiła się, gdyż przeniknął ją silny ból w nodze. Zaraz jednak zwróciła się do starszego z ratowników, Roda.

- Nie zapomnij o oddychaniu usta-usta, jeżeli...

W tej samej chwili chłopiec przestał oddychać.

Ryan przystąpił natychmiast do masażu serca; położył obie ręce na klatce piersiowej chłopca i zaczął ją miarowo uciskać.

- Zaczynaj! - krzyknął, patrząc na Roda.

Miał nadzieję, że kwalifikacje australijskich ratowników są na podobnie wysokim poziomie jak w czasach, gdy on sam przechodził u nich kurs pierwszej pomocy. Nie mylił się. Rod, który miał przy sobie maskę stanowiącą standardowe wyposażenie ratowników, rozpoczął natychmiast sztuczne oddychanie: dwa oddechy na każde piętnaście ucisków serca, które wykonywał Ryan.

- No, ruszcie się wreszcie, wszyscy! - rozległ się donośny głos Abbey. Krzyczała tak głośno, że umarli mogliby z grobu powstać, gdyby tylko ją usłyszeli. Takiej Abbey Ryan jeszcze nie widział. Nie było wątpliwości, że wiedziała, jak się zachować w nagłych wypadkach, i że cieszyła się autorytetem. Jasne też było, że miała odpowiednie kwalifikacje.

Przygodni turyści i rodzina chłopca stali nieruchomo, sparaliżowani strachem i zupełnie niezdolni do działania.

- Ruszcie się wreszcie! - zakomenderowała ponownie Abbey.

Tym razem posłuchali.

Abbey zaś po raz pierwszy w życiu czuła się bezradna, i doprowadzało ją to do szaleństwa. Mogła tylko siedzieć i patrzeć.

Dobrze chociaż, że Ryan daje sobie radę. Boże mój, dzięki ci za Ryana...

Z drugiej jednak strony, pomyślała sobie od razu, gdyby go tu nie było, byłabym cała i zdrowa... Nie zmieniało to jednak faktu, że z uznaniem patrzyła na to, co robił.

Minęły cztery minuty, pięć... Ryan i Rod nie ustawiali w wysiłkach. Ryan masował nadal serce chłopca, a Rod stosował sztuczne oddychanie przez maskę do ust chłopca.

Wszyscy wokół milczeli. Nic nie przerywało ciszy. Rodzice chłopca z pomocą drugiego ratownika usuwali najdrobniejsze pozostałości czulek meduzy, a jeden ze starszych chłopców polewał ciało dziecka octem. Po policzkach jego rodziców spływały łzy.

Niespodziewanie dobiegł ich sygnał nadjeżdżającej karetki. Zahamowała gwałtownie za samochodem Ryana i wyskoczyło z niej dwóch pielęgniarzy, którzy w ciągu kilku sekund dobiegli do nieprzytomnego dziecka. Przywieźli z sobą wszystko, czego Ryan potrzebował: tlen, adrenalinę i antytoksynę.

Po dwóch minutach dziecko zaczęło oddychać.

Niebezpieczeństwo jednak nie minęło. Nadal nie wiadomo było, czy chłopiec przeżyje. Pojawiła się jednak nadzieja. Dopóki oddychał, mógł się wydarzyć cud.

Załadowano go pospiesznie do karetki.

- Pojadę z nim - oznajmił Ryan.

W tej samej chwili przypomniał sobie, że teraz właśnie miał rozpocząć swój miodowy miesiąc. Czy miał jednak jakieś wyjście? Zwrócił się więc tylko do ratowników:

- Czy któryś z was nie mógłby zawieźć doktor Rhodes do szpitala? Ma zwichnięte, a może nawet złamane kolano, niewykluczone też, że doznała wstrząsu mózgu. - Bał się zabierać ją z sobą, gdyż dziecko mogło znowu przestać oddychać, a wtedy w karetce potrzeba dużo miejsca.

- Doktor Rhodes? - zdumieni się pielęgniarze.

- Doktor Henry ma na myśli mnie - wyjaśniła Abbey. - Nie było go tu dwadzieścia lat - dodała. - Jedźcie już - zwróciła się do Ryana. - Zaraz zadzwonię do szpitala i zawiadomię o waszym przybyciu, upoważniając cię do działania.

Ryan pomógł wsiąść do karetki matce chłopca, a potem, żegnając spojrzeniem Abbey, raz jeszcze zwrócił się do ratowników:

- Proszę, przywieźcie panią doktor jak najszybciej do szpitala. Bez względu na to, jak się nazywa...

## ***ROZDZIAŁ DRUGI***

Abbey znalazła się w szpitalu dopiero po półtorej godzinie, a Ryan nie mógł przez ten czas znaleźć sobie miejsca ze zdenerwowania. I to wyłącznie z jej powodu.

Sam szpital był ładny i znakomicie wyposażony. Personel pielęgniarski, uprzedzony przez Abbey, czekał już na niego i Ryan doszedł do przekonania, że chłopiec nie będzie miał tu gorszej opieki, niż gdyby znalazł się w szpitalu nowojorskim.

A może nawet lepiej, że tutaj trafił? W Nowym Jorku lekarze i pielęgniarki nie mają przecież doświadczenia w leczeniu ofiar drapieżnych meduz.

Przez pierwsze pół godziny Ryan miał ręce pełne roboty. Dwa razy jeszcze chłopiec przestawał oddychać. W końcu jednak antytoksyna zaczęła działać, oddychanie wróciło do normy i po chwili dziecko otworzyło oczy. Gdy okazało się, że chłopiec wszystkich poznaje i zachowuje się normalnie, jego matka wybuchnęła płaczem, a Ryan miał wielką ochotę pójść w jej ślady.

Zrobiło się popołudnie.

Gdzie więc, u licha, podziewa się Abbey?



- Dzwoniła pięć minut temu i pytała, czy wszystko w porządku - odezwała się siostra przełożona, jakby zgadując jego niepokój. Eileen McLeod była już po trzydziestce, a Ryan pamiętał ją jako żywą, małą dziewczynkę. Chodziła do jego klasy, tylko że wtedy nazywała się Eileen Roderick.

- Powiedziałaś, że wszystko już dobrze?

- Oczywiście, i Abbey była zachwycona. Mieli, zdaje się, sporo kłopotów. Twój samochód trzeba było wyciągać z piasku - mówiła Eileen. - Zaczął się przypływ i zdążyli w ostatniej chwili. Ratownicy mieli już przenieść Abbey do innego samochodu, ale ona nie chciała o tym nawet słyszeć. Taka właśnie jest nasza pani doktor. Urodzona despotka!

- A co się z nią teraz dzieje? - Ryan czuł się wykończony, a czekało go jeszcze nastawianie nogi Abbey i wizyta u ojca.

- Rod zaraz ją tu przywiezie, ale Abbey chciała przedtem odwiedzić pacjentkę.

- Założę się, że pojechali do pani Miller - wybuchnął, uderzając pięścią w stół tak głośno, że Eileen się przestraszyła. - Na litość boską, przecież ona ma zwichniętą nogę. Została uderzona w głowę i z pewnością co najmniej przez tydzień będzie miała bóle głowy. No i po tym wszystkim wędruje po bliższej i dalszej okolicy, jakby się nic nie stało.

- Nasza Abbey jest bardzo wytrzymała - zauważyła spokojnie Eileen. - Nic innego jej przecież nie pozostaje - dodała.

Niewiele to wszystko Ryana w tej chwili obchodziło. Leciał dwadzieścia sześć godzin samolotem, potem ten wypadek samochodowy, który mógł się przecież zakończyć śmiercią człowieka, a teraz...

- Chyba zdaje sobie sprawę, że czekam tu na nią.

- Nie sądzę, żeby się nad tym zastanawiała...

Eileen była w wieku Ryana. Pamiętała go dobrze z dzieciństwa i zawsze się go trochę bała, nawet wtedy, gdy mieli po piętnaście lat. Pamiętała go jako wysokiego, bystrego chłopaka, trzymającego się trochę na uboczu. Niezwykle

przystojny, świetnie zbudowany, był zawołanym sportowcem, a przy tym zadziwiającą inteligencją. Może właśnie dlatego był trochę samotnikiem. Jedynie Abbey zdawała się nie zwracać na to uwagi.

Ryan Henry...

No, a teraz wrócił. Ciekawe, czy pomoże to w czymś Abbey... Abbey prowadziła szpital przy pomocy Eileen i chyba jedynie Eileen wiedziała, jak ciężkie było życie Abbey.

Tylko że wszyscy opowiadali sobie o podróży poślubnej Ryana. Dziwne zresztą, że nie ożenił się już dawno. Patrzył tak ciepło na ludzi, rodzice przywiezionego do szpitala chłopca uśmiechali się do niego, gdy tylko napotykali jego wzrok, a Eileen miała przez chwilę ochotę pogłaskać jego ciemne, lekko falujące włosy.

- Na co ona liczy? Kto ma jej nastawiać nogę? - wybuchnął Ryan.

- Pewnie zrobimy to jakoś we dwie - westchnęła Eileen.

- Podobno zszywała już sobie ranę.

- Zszywała - potwierdziła Eileen. - To było coś niesamowitego. Rozbił się jakiś samochód i Abbey pojechała na miejsce wypadku karetką. Pomagała przy wydobywaniu rannych i rozcięła sobie okropnie rękę. Wszystko wokół było zalane krwią, więc nikt tego nie zauważył. Zawiązała po prostu ramię, nikomu nie powiedziała ani słowa i nie przerywała pracy. Byliśmy wszyscy u kresu sił, zwłaszcza że dwie osoby zginęły i obydwie pochodziły właśnie stąd... No więc kiedy skończyliśmy, ona po prostu odeszła, żeby sobie zaszyć ranę. W dodatku to było prawe ramię, a ona jest praworęczna, ale poszło jej zupełnie dobrze, choć została blizna.

- Słuchaj, Eileen... to znaczy siostró...

- Mów mi po imieniu - uśmiechnęła się Eileen.

- No więc powiedz mi, czy uważasz, że Abbey powinna sobie sama nastawiać nogę?

- Nie bardzo mi się to podoba, ale nie ma wyjścia.

- Ależ można ją zawieźć do Cairns!

- Przecież to od nas półtorej godziny jazdy - westchnęła Eileen. - A co się stanie, jeśli podczas jej nieobecności będzie nagły wypadek? Ona się zresztą nigdy na to nie zgodzi. Nie ma po prostu na to czasu. Ma małe dziecko, trzeba wydoić krowy, a teściowa nie poradzi sobie bez niej.

- Co ty opowiadasz? - przerwał jej Ryan, wymachując rękami, jakby chciał odpędzić od siebie niewygodne myśli. -Chcesz powiedzieć, że to wszystko należy do obowiązków Abbey?

- Tak, i nie jest jej łatwo - powiedziała, patrząc z nadzieją w oczach na Ryana.

Ryan jest lekarzem, ma zamiar trochę tu pobyc. Eileen myślała chwilę, a potem najwyraźniej doszła do jakichś ważnych wniosków, gdyż głos jej się wyraźnie zmienił.

- Boję się tylko, że jeśli jest z nią tak niedobrze, jak mówisz, to nie da sobie rady - dodała łamiącym się głosem.

- A co zrobisz, kiedy ona będzie leżała?

- Sprawię jej dobre kule - powiedziała butnie, patrząc Ryanowi prosto w oczy. - Posłuchaj, Ryan, ten szpital istnieje tylko dzięki Abbey Wittner. Ciekawa jestem, czy pamiętasz, jak wyglądały usługi medyczne w Szafirowej Zatoce, kiedy byłeś dzieckiem?

- Chyba nic tu w ogóle nie było - odparł, przypominając sobie koszmarną podróż do Cairns późną nocą, gdy pękł mu wyrostek robaczkowy.

- No właśnie. Nic tu w ogóle nie było. A Abbey, gdy tylko skończyła medycynę, nakłoniła mieszkańców, żeby zajęli się budową szpitala i zorganizowała na nowo system opieki nad chorymi w domu. Opieka medyczna jest tu teraz znakomita, wszystko by się jednak rozpadło bez Abbey.

- Ale bez względu na to, czy jej potrzebujecie, czy nie, ona ma zwichniętą nogę - wtrącił niepewnym głosem Ryan. - A kiedy ją nastawimy, przez jakiś tydzień poleży z nogą do góry. Noga będzie tak spuchnięta i boląca, że Abbey z

pewnością nie będzie mogła na niej stawać. Nie obejdzie się bez krótkiego urlopu.

- Kiedy ona jeszcze nigdy nie miała urlopu - zauważyła Eileen. - Nawet wtedy, kiedy urodziła dziecko. Ani wtedy, kiedy... No więc, krótko mówiąc, nigdy. Nie widzę wobec tego powodu, żeby go miała brać właśnie teraz. Jeżeli noga nie jest złamana, pomogę ją nastawić.

- Wpadła pod mój samochód, więc muszę jej pomóc - mruknął Ryan, napotykając pełne nadziei spojrzenie Eileen. - Jestem w końcu chirurgiem ortopedą - dodał - ale nic ponadto nie mogę zrobić.

W pół godziny później Abbey dotarła do szpitala. Gdy tylko Rod zaparkował, Ryan chwycił wózek inwalidzki i pobiegł z nim do samochodu.

- Na litość boską, gdzie się podziewałaś? - spytał z niepokojem w głosie, który Abbey odczytała jako gniew.

- Byłam zajęta - odrzekła sucho, starając się uśmiechnąć, aby nie zauważył na jej twarzy bólu.

Przeceniła jednak swoje możliwości. Morfina przestawała powoli działać i pod koniec wizyty u pani Miller Abbey myślała, że zemdleje z bólu.

- Jak się czuje chłopiec? Eileen mówiła, że zaczyna dochodzić do siebie? - pytała, chcąc odwrócić od siebie uwagę Ryana.

- Czyś ty upadła na głowę? - wybuchnął znowu. - A więc jednak byłaś u pani Miller?

Rod wysiadł z samochodu i przysłuchiwał się im z zainteresowaniem.

- Marg Miller chciała się ze mną koniecznie zobaczyć - podniosła głos Abbey.

- Żebyś jej zmieniła opatrunek. Na litość boską, Abbey...

- Wcale nie - odparowała. - A w każdym razie nie po to mnie do siebie wzywała. Chciała mi coś powiedzieć.

- Co ci chciała powiedzieć?

- Jeszcze dobrze nie wiem - przyznała. - Rod był ze mną, sama bym przecież nie dała sobie rady, ale Marg Miller nie wykrztusiła z siebie słowa.

- Wędrujesz więc sobie po okolicy, popijasz herbatki, a zapominasz, że zostałam dziś potrącona przez samochód.

- Skąd wiesz, że sobie popijam herbatki?

- Nie było tak?

- No tak, ale...

- Po prostu zgadłem. Pamiętam przecież dobrze panią Miller. Ale posłuchaj, to ty jesteś chora i potrzebujesz pomocy, a nie ona.

- Tylko że coś tam u niej jest nie w porządku.

- Ale nie wiesz co?

- Nie wiem, ale się dowiem.

- Doktor Wittner kazała mi się zanieść do kuchni, bo chciała wypić herbatę z panią Miller - tłumaczył Rod, pomagając Ryanowi posadzić Abbey na wózku. - Nogę wyciągnęła na krzesło i siedziała tak, jakby nic się nie stało. A pani Miller miała już nakryte do stołu. Czego tam nie było! Filiżanki z porcelany, świeżutkie pączki, konfitury, śmietanka.

- Widzę, że skorzystaliście z poczęstunku - mruknął Ryan.

- Oczywiście, że tak! - Abbey rzuciła mu piorunujące spojrzenie. - Gdybym tego nie zrobiła, Marg byłoby przykro.

- A co będzie, jeśli będę ci musiał zastosować znieczulenie ogólne?

- Nie ma w ogóle mowy o znieczuleniu ogólnym.

- Kto tak powiedział?

- Ja! - odrzekła, ponownie obrzucając go piorunującym wzrokiem. - A teraz mi powiedz, dokąd tu będę sterczała na tym wózku? Zabierz mnie w końcu do szpitala! W odróżnieniu od ciebie, mam jeszcze masę roboty.

Ryan przeczesał ręką włosy.

- Zawieźmy naszą panią doktor do środka - odezwał się Rod - bo inaczej zeskoczy z tego fotela i sama będzie go pchać.

Uśmiechnął się do Ryana porozumiewawczo i pomógł mu zawieźć Abbey na prześwietlenie.

Kości były nienaruszone.

Dzięki Bogu, pomyślał Ryan, a Abbey głośno wyraziła zachwyt, przyglądając się zdjęciu rentgenowskiemu.

- Cudownie! Będę się niedługo mogła zabrać do pracy. Eileen poda mi morfinę i razem zaraz nastawimy tę nogę.

Okropnie ją bolała, lecz Abbey nie przyznawała się do tego.

- Wykluczone! - Ryan pokręcił głową. - Ja sam ci nastawię nogę. Jestem chirurgiem ortopedą, więc przestań już gadać!

- Jesteś chirurgiem ortopedą... - ucieszyła się Abbey, która przez cały czas robiła dobrą minę do złej gry. Wcale nie miała ochoty uczyć Eileen, jak się nastawia nogę, a do Ryana miała zaufanie. Przymknęła oczy. - To wspaniale, tak się cieszę... Bierzmy się do roboty! Tylko pamiętaj, że muszę jeszcze wydoić krowy.

- Wydoić krowy? Słuchaj, Abbey, jak tylko skończę, powędrujesz do łóżka.

- Nie wybieram się do łóżka.

- Mylisz się. Wylądujesz tam na cały tydzień!

- To po prostu śmieszne. Chyba ze mnie kpisz.

- Przecież nie masz wyjścia - zauważył spokojnie. - Może wybierasz się na rower? Przecież nie jesteś teraz w stanie prowadzić nawet samochodu.

- Jakoś dam sobie radę.

- Nie uda ci się to z szyną na stawie kolanowym. A zresztą noga będzie cię bardzo bolała, a opuchlizna zejdzie dopiero po tygodniu.

Przez chwilę Abbey sprawiała wrażenie przestraszonej.

- Trzeba będzie ograniczyć wizyty domowe - mruknęła w końcu. - A przy pilnym wyjeździe pielęgniarki zaniiosą mnie do karetki.

- Ależ...

- Dam sobie radę - oświadczyła. - Muszę sobie dać radę.

- Nic z tego nie rozumiem - mruknął do siebie Ryan. - Czy mogłabyś przygotować szynę dla Abbey? - zwrócił się do Eileen, która weszła właśnie do pokoju.

- Tak jest, panie doktorze. - Eileen uśmiechnęła się ciepło i wyszła.

- Posłuchaj - zaczęła Abbey. - Ja naprawdę będę mogła...

- Nie będziesz mogła - odparł, siadając przy niej i biorąc ją za rękę.

Miała szorstkie dłonie. Przyjrzał się jej palcom i zmarszczył czoło. Miała tak zniszczoną skórę jak kobiety wiejskie. Dłonie Felicity były aksamitne i delikatne, używała stale kremów nawilżających, które czyniły jej skórę jeszcze bardziej miękką. Ręce Abbey wyglądały tak, jakby nigdy nie widziały żadnego kremu. Dlaczego więc jest mu tak dobrze, gdy trzyma jej dłonie?

- Zaraz zabiorę się do twojej nogi i twarzy - uśmiechnął się - a potem odwiozę cię do domu. I tam zostaniesz. Przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny będziesz leżeć w łóżku, a potem przez tydzień nie będziesz pracować, tylko się wylegiwać, trzymając nogę do góry. Są to zalecenia lekarskie.

Abbey spuściła oczy. Popatrzyła na swoje ręce, które Ryan trzymał w dłoniach, i zaczęło ją coś dusić w gardle. Co za głupota! - pomyślała sobie. Nie będę przecież płakać z byle powodu. To wszystko przez ten wypadek i ogromne zmęczenie, a także zdenerwowanie przy ratowaniu dzieciaka na plaży.

Przymknęła oczy i delikatnie wysunęła dłonie z jego rąk. Gdy otworzyła znowu oczy, była już spokojna.

- Mowy nie ma - oznajmiła. - Nie mogę sobie na to pozwolić, nie mam po prostu wyboru. Muszę pracować.

- Poszukaj zastępcy - rzucił ostro. - I nie opowiadaj mi, że nie możesz.

Abbey westchnęła i potrząsnęła głową.

- Kiedy ja naprawdę nie mogę. Jest teraz listopad. Rok akademicki kończy się za miesiąc i dopiero wtedy mogłabym znaleźć jakiegoś stażystę. Teraz

można skorzystać tylko z usług dyplomowanych lekarzy, a to kosztuje majątek.

- Próbowała się uśmiechnąć. - A tak się składa, że nie mam majątku.

Pokiwał zdumiony głową.

- Nic nie rozumiem. Przecież prowadząc taki szpital, musisz zarabiać na tyle dobrze, żeby móc opłacić zastępcę.

- Nie mogę sobie na to pozwolić i już - wyszeptała. - A ile zarabiam, to nie twoja sprawa.

W tej samej chwili wróciła Eileen, niosąc opatrunki i bandaż.

- Potrzebny jest nam lekarz, który będzie pracował za darmo - uśmiechnęła się Eileen przekornie. - Może się taki znajdzie. Najlepiej by było, gdyby pochodził stąd, miał dużo wolnego czasu i gdyby to był ten sam człowiek, przez którego nasza pani doktor stała się inwalidką...

Ryan zaniemówił.

- Chwileczkę... - Łatwo się domyślić, o czym Eileen mówi.

- Zaczynam właśnie podróż poślubną.

- Słyszeliśmy już, słyszeli, tylko gdzie jest panna młoda?

- Eileen uniosła brwi do góry.

- Jeszcze nie przyjechała.

- Przylatuje dopiero wieczorem?

- Nie, ale...

- No więc o co chodzi? - dociekała Eileen. Abbey popatrzyła na nią karcącym wzrokiem.

- Tylko nie mów, że go nie potrzebujemy - rzekła Eileen do Abbey - bo to nieprawda. Bardzo jest nam potrzebny. Co pan na to, panie doktorze?

- Eileen... - zaczęła Abbey bez przekonania w głosie.

- Jestem pewna, że doktor Henry rozumie doskonale, co powinien zrobić.

Obydwie kobiety nie odrywały od Ryana wzroku.

- Coś mi się wydaje, że chcecie mi udaremnić podróż poślubną... Już od roku nie miałem urlopu.



- Doktor Wittner nie miała urlopu od niepamiętnych czasów - zauważyła Eileen - a ty ją potraciłeś.

- Eileen, zostaw go w spokoju - przerwała Abbey zmęczonym głosem. - Wcale go nie potrzebujemy.

- Wprost przeciwnie - rzuciła Eileen, patrząc na Ryana wyzywająco.

- Eileen!

Abbey nie wiedziała już, czy ma się śmiać, czy płakać. Ryan spojrzał na nią i zamilkł. Zobaczył w jej oczach ból i zmęczenie. Uważał, że to on jest wyczerpany, tymczasem kobieta, którą miał przed sobą, była absolutnie wykończona. Miała też podkrążone oczy i była wychudzona, a jej ręce były zniszczone pracą. Wiedział, że musi ustąpić Eileen. Cóż innego mógł zrobić?

Tylko co ja powiem Felicity? - zaczął się zastanawiać. Z winy Felicity miesiąc miodowy jeszcze się nie rozpoczął, a niespodziewany wypadek i te dwie kobiety odbiorą mu go w całości.

- Poddaję się - oznajmił znużonym głosem. - A teraz niech pani doktor łaskawie pozwoli mi doprowadzić swoją nogę do porządku. Zdaje się, że będziesz mi towarzyszyć do końca mojego miodowego miesiąca! - dodał po chwili.

Ryan pomylił się, sądząc, że Abbey przyjmie jego pomoc bez zastrzeżeń. Przez cały czas, gdy przygotowywał z Eileen jej nogę do zabiegu, nie przestawała protestować.

- Jeszcze jedno słowo, a zastosuję znieczulenie ogólne - zagroził w końcu.

- Nie możesz tego zrobić bez mojej zgody.

- Siostro - zwrócił się Ryan do Eileen - czy nie odnosi siostra wrażenia, że pacjentka zachowuje się w sposób nieodpowiedzialny?

- Odnoszę - odparła Eileen, z trudem zachowując powagę.

- Może to z powodu silnego uderzenia w głowę?

- Całkiem możliwe. - Eileen pokiwała z przekonaniem głową.

- A więc wszelkie działania zmierzające do udzielenia jej pomocy medycznej będą całkowicie usprawiedliwione.

- Z ust mi pan doktor to wyjął - uśmiechnęła się Eileen. - Ma pan świętą rację.

- Sama widzisz. - Ryan spojrzał na Abbey. - Nie pozostaje ci nic innego, jak nas słuchać. Masz być cicho i już.

Delikatnie ujął jej nogę. Abbey dostała już środek uspokajający oraz sporą dawkę morfiny i Ryan przyglądał się teraz bacznie jej twarzy, poszukując oznak bólu.

Zdecydowanym ruchem obrócił jej podudzie w prawo. Otworzyła na chwilę usta, w jej oczach dostrzegł strach. Wystarczyło jednak, że spojrzała na nogę, a na jej bladej twarzy pojawił się uśmiech. Rzepka poniżej opuchlizny przybrała znowu normalny wygląd.

- Wspaniale to zrobiłeś - wyszeptała, a w chwilę potem znowu zaczęła się klócić: - Słuchaj no, jeśli sobie myślisz, że ja będę leżała beczynnym brzuchem do góry...

- Siostro, a może by tak obandażować ją aż po szyję?

- Najlepiej razem z ustami - zachichotała Eileen.

- Trzeba się czasem przyznać do porażki - uśmiechnął się Ryan.

Abbey rzeczywiście nie była w stanie nic zrobić, więc po prostu zamilkła. I milczała do chwili, gdy Ryan wsiadł z nią do samochodu, by ją zawieźć do domu.

Chłopiec, którego ratowali na plaży, miał się coraz lepiej, lecz Eileen wzięła na wszelki wypadek numer telefonu komórkowego Ryana. W razie potrzeby miała go wzywać, gdyż szpitalem zarządzać miał teraz Ryan. Abbey przyjęła to bez entuzjazmu.

- Nie musisz wcale tu zostawać - oznajmiła cichym głosem. W gruncie rzeczy była jednak bardzo zadowolona, że został.

Znajdowała się bowiem u kresu sił. Ból i szok, jakie przeżyła, dopiero teraz dawały o sobie naprawdę znać. Nie mogła mu się jednak do tego przyznać.

- Otóż muszę - odparł Ryan, spoglądając do tyłu. Abbey leżała na tylnym siedzeniu, rozmawiał więc z nią przez ramię. - Słuchaj, rozważyłem wszystko dokładnie i nie mam wyjścia. Sama mówiłaś, że to ja spowodowałem wypadek. Za szybko jechałem.

- No tak, ale ja nie uważałam.

- I w rezultacie masz poharataną nogę, a ja mam wyrzuty sumienia. Nie pozostaje nam więc nic innego, jak zaradzić jednocześnie jednemu i drugiemu. Co ty na to?

- Żebyś potem czuł się jak męczennik? - Powiedziała to ostrzej, niż zamierzała, i Ryan skrzywił się.

Tak właśnie się czuł, jak prawdziwy męczennik. Gdy sobie to uświadomił, poczuł wyrzuty sumienia. Trudno właściwie powiedzieć, żeby działa mi się jakaś krzywda, pomyślał. Jestem w swoim rodzinnym mieście, a zaraz po przyjeździe najechałem samochodem na miejscowego lekarza. Ludzie byli dla mnie dobrzy, gdy mieszkałem tu jako dziecko, może więc trzeba teraz spłacić dług?

- Nie czuję się żadnym męczennikiem - odezwał się nadspodziewanie ciepłym głosem. - Uwierz mi, proszę, i pozwól tu zostać.

- Chcesz przez tydzień popracować?

- Tydzień lub dłużej, jeśli mnie będziesz potrzebowała.

- Ale... miałaś tu przecież spędzić swój miodowy miesiąc - zauważyła. - Wszyscy o tym mówią. Twój ojciec też o tym opowiadał.

- Widujesz nadal mojego ojca?

- Jak bym go mogła nie widywać? - Abbey spojrzała na niego zdumiona. - Moja teściowa żyje z nim w przyjaźni. Wiele czasu spędzamy razem i przypuszczalnie znam go lepiej niż ty.

- Co masz na myśli?

- Jest przecież nie tylko naszym przyjacielem, ale także moim pacjentem.

Choć nie przyszło mu to łatwo, musiał przyznać, że to prawda.

- Czy coś mu dolega?

- Nie wiesz, jak on się czuje? - spytała. - Mówił, że piszecie do siebie.

- Oczywiście, że tak.

- Hm - mruknęła. W jej głosie wyczuł potępienie. - No a gdzie jest twoja narzeczona? - zmieniła szybko temat rozmowy.

- Na Hawajach.

- Aha. - Pokiwała ze zrozumieniem głową. - Każde z was osobno spędza miodowy miesiąc. To... bardzo nowocześnie.

- Abbey!

Wcale się nie zmieniła, nie zmieniła się ani trochę, pomyślał. Zawsze mówiła wszystkim to, co myśli. Jemu także; za to właśnie ją kiedyś kochał.

- A czy będziecie razem brali ślub? - spytała obojętnym tonem. - Pewnie możliwe są już śluby przez Internet?

Ryan bezwiednie się uśmiechnął. Ślub przez Internet! To byłoby z pewnością coś w guście Felicity. Że też nie przyszło jej to do głowy.

Abbey jednak najwyraźniej sobie z niego kpi. Ryan spoważniał i zaczął się bronić.

- Jeszcze nie wzięliśmy ślubu. Postanowiliśmy się pobrać w Szafirowej Zatoce, gdy tylko Felicity tu przyjedzie.

Ku zdumieniu Ryana Abbey od razu złagodniała.

- Twój ojciec będzie zachwycony.

- Nie przypuszczam, żeby go to wiele obchodziło.

- Bardzo go to obchodzi - zaprotestowała. Mówiła z dziwną zawziętością w głosie, bardziej do siebie niż do Ryana. - Nie wiesz nawet jak bardzo. Musisz teraz skrócić - rzekła po chwili, nachylając się lekko do przodu. - Tutaj właśnie mieszkam.

Ryan rozejrzał się dookoła. Abbey kazała się zatrzymać przed skromnym domkiem tonącym w gąszczu tropikalnej roślinności. Musiał być stary; miał pewnie ze sto lat i robił wrażenie, jakby nikt o niego przez cały ten czas nie dbał.

Kiedyś była tam plantacja trzciny cukrowej, teraz pasło się na wygonie parę krów. Spod nadjeżdżającego samochodu rozbiegło się z gładaniem stadko kur, a wokół werandy jeździł na trzykołowym rowerku rudowłosy chłopczyk. Na widok samochodu wbiegł do domu i po chwili wyłonił się, trzymając za rękę starszą panią, która była zapewne jego babcią.

Musiała być już po siedemdziesiątce, choć pośród siwych włosów można było dostrzec na jej głowie rude pasma; była jednak zgarbiona i pomarszczona, a twarz miała spaloną ostrym słońcem. Schodziła powoli po schodkach prowadzących na werandę, podpierając się laską i trzymając mocno za rękę chłopczyka, tak jakby się spodziewała nieszczęścia.

Musiało już ją kiedyś spotkać nieszczęście, pomyślał Ryan, patrząc na jej twarz. Malowało się na niej cierpienie bez porównania większe od tego, które dostrzegł w oczach Abbey.

Co to za kobieta? - zastanawiał się. Nie mógł sobie przypomnieć, kto mieszkał w tym domku, gdy był dzieckiem.

Na twarzy kobiety malował się teraz strach. Ryan wyłączył silnik, a Abbey otworzyła szybko drzwiczki samochodu.

- Janet! - zawołała. - Nic się nie stało, zwichnęłam tylko nogę, ale wszystko już jest w porządku.

Twarz kobiety rozjaśniła się w mgnieniu oka.

- Co zwichnęłaś?

- Nogę - odrzekła Abbey z uśmiechem i tylko Ryan wiedział, jak wiele musiał ją kosztować podobnie beztroski uśmiech. Ból nie opuszczał jej przecież nawet na chwilę. - Wróciłam już, synku. Zobacz tylko, co sobie zrobiłam -

zwróciła się do chłopczyka, pokazując mu usztywnioną nogę. - Janet, pewnie pamiętasz Ryana Henry'ego? Potrącił mnie samochodem.

- Ryana Henry'ego... - Janet zmarszczyła czoło i po chwili jej twarz rozjaśniła się uśmiechem. - Ależ oczywiście, to przecież syn Sama. Pamiętam cię jako młodego chłopaka. Byłeś troszkę starszy od mojego Johna. Bardzo się cieszę, chociaż... - spojrzała na nogę Abbey - czy dobrze zrozumiałam, że Ryan najechał na ciebie?

- Najechałem.

Janet zmarszczyła czoło.

- To może należałoby go wytarzać w smole i pierzu i wyrzucić potem z miasta?

- Nie będziemy go nigdzie wyrzucać - oznajmiła stanowczo Abbey. - Ryan poświęca dla nas swój miodowy miesiąc.

- Co? - spytała Janet, cofając się krok, gdyż Ryan podszedł do Abbey, aby ją wynieść z samochodu.

Była lekka jak piórko i Ryan wziął ją na ręce bez żadnego wysiłku.

- Nie będę mogła wrócić do szpitala, dopóki opuchlizna mi trochę nie zejdzie - zwróciła się do Janet. - I Ryan, zamiast jechać w podróż poślubną, zastąpi mnie w pracy.

Abbey uśmiechnęła się do Ryana, lecz po chwili spuściła oczy. Dziwnie się czuła w objęciach tego mężczyzny - człowieka, którego kiedyś dobrze знаła i za którym wylała tyle łez, gdy ją opuścił.

- To naprawdę miło z twojej strony - powiedziała Janet - ale czy twoja żona nie będzie miała nic przeciwko temu?

- On jeszcze nie ma żony - odezwała się Abbey. - Zostawił swoją narzeczoną na Hawajach. Ryan, postaw mnie. Będę skakała na jednej nodze.

- Nigdzie nie będziesz skakała. Możesz się poruszać tylko o kulach, i to na płaskim terenie, a poza tym przez najbliższe parę dni trzeba cię będzie nosić. Ale powiedz mi, gdzie jest twój mąż?

Zapanowała cisza. Ryan zrozumiał, że mąż Abbey z pewnością nie przebywa teraz na Hawajach...

- John nie żyje - odparła Abbey cichym głosem, a na jej twarzy odmalowało się zmęczenie. - Dziękuję ci - dodała po chwili. - Gdybyś mnie tylko wniósł do domu... damy sobie potem jakoś radę.

## ***ROZDZIAŁ TRZECI***

John Wittner...

Ryan wniósł Abbey do domu i przez cały czas próbował sobie przypomnieć dawnych szkolnych kolegów. Było wśród nich kilku chłopców noszących nazwisko Wittner. Nie miał jednak pojęcia, który z nich mógł być mężem Abbey.

Wreszcie go olśniło. Dopomógł mu w tym kolor włosów synka Abbey. O dwie klasy niżej od niego był rudowłosy chłopak, wysoki, pogodny i dobroduszny, który znakomicie grał w piłkę nożną i w krykieta.

- John Wittner? - powiedział powoli, kładąc Abbey na łóżku. Starsza pani zostawiła ich samych. Zmieniła się na twarzy, gdy padły słowa: „nie żyje”, i chciała pewnie zostać przez chwilę sama. - Był z niego wspaniały sportowiec... - dodał Ryan.

- Pamiętasz go? - spytała Abbey.

Cóż to za cudowne uczucie - móc się położyć choć na chwilę we własnym łóżku! Jeśli wszystko dobrze pójdzie, będę mogła chwilę odpocząć, pomyślała z radością. Krowy można wydoić za pół godziny.

- Raczej słabo - przyznał Ryan, siadając przy niej.

Mój Boże, ależ ona jest chuda i mizerna, pomyślał, przyglądając się Abbey. Wielkie, błękitne oczy, które na niego patrzyły, należały jednak do tej samej dziewczyny, którą znał przed laty.

Nie było go tu siedemnaście lat, a jednak łączyła ich nadal przyjaźń. Ryan poczuł się okropnie na myśl, że Abbey przechodziła trudne chwile, a on nic o tym nie wiedział. Miał ją teraz przy sobie potłuczoną, poranioną i wynędzniałą i próbował sobie przypomnieć, jak to było, kiedy mieszkał przed laty w Szafirowej Zatoce.

Kochał wtedy Abbey.

- Opowiedz mi coś o Johnie - poprosił cicho. - Kiedy się pobraliście?

- Gdy skończyłam studia - odpowiedziała. - John był taki dobry. Kiedy wyjechałeś... - Urwała, nie mając ochoty wspominać, co się z nią działo po jego wyjeździe. - Potrzebowałam kogoś bliskiego - zaczęła po chwili. - I John... stał się moim przyjacielem. A potem umarła moja mama...

- Twoja mama umarła?

- Umarła na raka, kiedy miałam dwanaście lat, i wtedy państwo Wittner wzięli mnie do siebie. Janet traktowała mnie jak własną córkę, a John i ja... skończyło się to wszystkim małżeństwem. Tylko że... Kiedy byłam na studiach, umarł ojciec Johna, a Janet bardzo to przeżyła. Przestało ją wszystko obchodzić i z niczym nie umiała sobie poradzić. No i John niemal z dnia na dzień zaczął zarządzać farmą...

- I wtedy zaczęły się pewnie kłopoty finansowe? - Ryan pilnie przyglądał się Abbey, a widząc na jej twarzy cierpienie, stracił ochotę na rozmowę.

- Państwo Wittner mieli zasobne gospodarstwo, uprawiali trzcinę cukrową i prowadzili hodowlę bydła - ciągnęła Abbey. - John nie miał, niestety, głowy do interesów. Dokonał kilku niezbyt fortunnych lokat kapitału i udzielił pożyczek ludziom, którzy nie zasługiwali na zaufanie. Po moim powrocie ze studiów okazało się, że ma poważne kłopoty finansowe.

- I wtedy przenieśliście się tutaj.

- To było znacznie bardziej skomplikowane - tłumaczyła Abbey. - John... miał bardzo rozwinięte poczucie godności własnej i ani mnie, ani Janet nigdy się nie przyznał do swoich kłopotów. W międzyczasie udało mi się zachęcić



mieszkańców do budowy szpitala, rozpoczęłam praktykę lekarską, która powoli przynosiła dochody, i właśnie wtedy zaszłam w ciążę. Byłam bardzo szczęśliwa, myślę, że John także. Zdawało się, że byt mamy zabezpieczony, w szpitalu dobrze zarabiałam, ale...

- Mów dalej - poprosił, gdy znowu przerwała.

- John zaczął uprawiać hazard, ale nikt o tym nie wiedział. Mówił, że wybiera się na jakieś zebranie czy odczyt, a my mu wierzyłyśmy. Byłam wtedy okropnie zajęta. Nie powiedział nic nawet wtedy, gdy popadł w straszne długi... I w końcu się zastrzelił... - dokończyła.

Ryan uścisnął mocno jej rękę.

- Nie umarł od razu... Kilka miesięcy leżał w stanie śpiączki. Farma tonęła w długach, nie mieliśmy żadnego ubezpieczenia, a ja byłam przecież w ciąży. Jack urodził się dwa miesiące po śmierci Johna - ciągnęła cicho Abbey. - Skończyło się więc licytacją. Janet nie dopuszczała w ogóle myśli o przeprowadzce do miasta. A teraz jest przekonana, że wszyscy mówią tylko o niej i nie chce widzieć ludzi ani rozmawiać o Johnie. Spotyka się nadal jedynie z twoim ojcem.

Kupiłyśmy w końcu ten domek, na nic innego nie było nas stać, i tu mieszkamy. Mam kolosalne długi, które powoli spłacam, a poza tym wszystko się dobrze układa... No, to już skończyłam - dodała po chwili, uśmiechając się blado. - Zapomnij teraz o tej historii.

Jedno spojrzenie na Abbey wystarczyło, by Ryan zrozumiał, że nic się dobrze nie układa.

- Czy wiesz jakoś koniec z końcem? - zapytał cicho.

- Na pewno w końcu się uda. Żeby dorobić do moich dochodów, dostarczamy niepasteryzowane mleko do lokalnej wytwórni serów i...

- Ile masz krów?

- Piętnaście. Wytwórnia nie potrzebuje więcej mleka.

- Piętnaście? - zasepił się Ryan. - To za mało, żeby opłaciło się kupić dojarkę mechaniczną.

- Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. - Abbey próbowała się uśmiechnąć. - Doimy ręcznie...

- Chyba żartujesz!

- Nie - odrzekła. - Gdybyśmy w ogóle zrezygnowały z farmy, Janet pewnie by się po prostu położyła i umarła.

- Ależ Janet ma ręce powykręcane artretyzmem, a to jej biodro...

- No więc co z tego wynika? - spytała zmęczonym głosem.

- Przecież ona nie może doić krów!

- Oczywiście, że nie. To ja doję krowy.

- Co ty w ogóle opowiadasz! - wybuchnął. - Nie możesz przecież doić dwa razy dziennie krów, prowadzić szpitala i opiekować się...

- Nie mam wyjścia - przerwała mu. Zapadła cisza.

- Musi być jakieś wyjście - zaprotestował. Myślał właśnie, co na to wszystko powie Felicity. - Musisz kupić w mieście mały dom...

- Przecież już ci mówiłam, że to nie wchodzi w grę. Janet by tego nie wytrzymała, nie mówiąc o tym, że domki w mieście są dużo droższe od naszego. Dużo droższe - dodała, patrząc na pęknięcia na suficie i wybrzuszone tapety. - W dodatku mieszkając tutaj, mamy dodatkowy dochód z krów, Janet chowa kury i sprzedaje jajka, nie mówiąc oczywiście o tym, że zajmuje się Jackiem, gdy mnie nie ma w domu...

- A ty odbywasz domowe wizyty na rowerze!

- Mam samochód - zaczęła się bronić - tylko nie jeżdżę nim wtedy, kiedy można dojechać gdzieś na rowerze.

- Mieszkając w mieście, miałabyś jednak wygodniej.

- Pewnie tak - przyznała. - Mogłabym mieć mieszkanie na terenie szpitala. Co by jednak stało się wtedy z Janet?

- Ona jest przecież w tym wieku, że mogłaby zamieszkać w domu opieki.

Ryan wiedział doskonale, że Felicity, będąc na miejscu Abbey, dawno by już tam Janet umieściła - po to, aby jak najszybciej pozostawić za sobą wszelkie problemy i nieszczęścia.

Znowu zapadła cisza. Potem Abbey potrząsnęła głową i przymknęła oczy.

- Idź już - powiedziała. - Będę ci naprawdę bardzo wdzięczna, jeżeli zajmiesz się wszystkimi moimi pacjentami przez najbliższy tydzień, ale to nie znaczy, że będziemy się widywali.

- A to dlaczego?

- Przez chwilę miałam wrażenie, że rozmawiam z twoją matką - odrzekła zmęczonym głosem. - A twoja matka jest jedyną osobą na świecie, której nie jestem w stanie znieść.

Ryan z trudem pohamował gniew.

- No, jeżeli rozmowa nasza zaczyna przybierać podobny obrót... - powiedział, wstając.

- Moja matka podobno źle się prowadziła - ciągnęła tym samym tonem Abbey. - Tak przynajmniej twierdziła twoja matka, więc chociaż ty już nic nie mów.

- Abbey...

- Daj już spokój.

Abbey marzyła jedynie o chwili spokoju. W dodatku obecność Ryana działała na nią w przedziwny sposób. Chciało jej się przy tym okropnie płakać, bolała ją noga i wszystko wydawało się takie beznadziejne.

- Kto dziś będzie doił krowy? - spytał Ryan szorstko. W jego głosie wyczuła gniew, a także zmęczenie.

- A jak ci się zdaje? Oczywiście, że ja. A teraz idź już. Muszę mieć chociaż piętnaście minut, żeby dojść do siebie, zanim zabiorę się do roboty.

- Nie możesz przecież dzisiaj doić krów!

- No to musi to zrobić Janet z Jackiem. Co wolisz?

- Musi być przecież ktoś...

- Nikogo takiego nie ma. Idź już! - Mówiąc to, Abbey przekreśliła się na bok, odwracając twarz do ściany.

Mój Boże, pomyślała. Zachowuję się jak rozkapryszone dziecko, ale to wszystko przez Ryana. Czuliła się z tego powodu prawdziwie nieszczęśliwa. Po policzkach zaczęły jej wolno płynąć łzy.

- Czy Janet powie mi, co mam robić? - dobiegł ją głos Ryana.

Usiłowała zrozumieć, o co mu chodzi.

- Co masz na myśli?

- Chciałbym, żeby mi powiedziała, jak zagonić krowy do obory. Kiedyś umiałem doić - dodał niepewnym głosem - i mam nadzieję, że jest z tym tak, jak z jazdą na rowerze. Nie sposób zapomnieć, skoro się człowiek raz nauczył...

Abbey zdawało się, że głos płynął gdzieś z daleka, Ryan musiał jednak stać przez cały czas obok. Dotknął jej policzka i otarł łzy.

- Prześpij się trochę - powiedział łagodnie. - Pójdę wydoić te twoje krowy, a potem... usiądziemy i spróbujemy jakoś uporządkować twoje sprawy.

- Przecież ty nie możesz... - Odwróciła się do niego, próbując coś powiedzieć.

- Przestań wreszcie mówić i zaśnij - rozkazał. - W końcu ja tu teraz decyduję.

O niczym bardziej nie marzyła!

Spojrzała na zatroskaną twarz Ryana, ale nie była w stanie nic zrobić ani nic z siebie wydusić. Morfina i wyczerpanie sprawiły, że otworzyła usta i zdołała wyszeptać tylko to, co wydało jej się w tej chwili najważniejsze:

- Tak jest, panie doktorze. - A potem ciszej dodała: - Bardzo ci dziękuję. I wreszcie zasnęła.

Gdy się obudziła, dobiegł ją śmiech.

Poruszyła się, by sprawdzić, co się z nią dzieje. Bolała ją noga, a także policzek. Poprawiła opatrunek na twarzy i spróbowała poruszyć nogą. Bolało ją znacznie mniej, niż się spodziewała, ale ze zdumieniem zauważyła, że była

przykryta kocem. Rozejrzała się niespokojnie. Przecież gdy zasypiałam, nie było tu żadnego koca. Pewnie mnie Janet okryła...

Albo Ryan...

Zarumieniła się na samą myśl o tym, że Ryan mógł być przy niej, gdy spała. Nie, to z pewnością Janet.

Ryan Henry...

Wtargnął znów w jej życie, niespodziewanie jak burza, i przyniósł z sobą niepokój.

Cóż za idiotka ze mnie! Co z tego, że jest przystojny i że uśmiecha się tak jak dawniej... To wcale nie znaczy, że jest takim samym człowiekiem jak kiedyś. A już na pewno to nie powód, aby ciągle się w nim kochać...

Śmiech dobiegał z kuchni. Nasłuchiwała chwilę, a potem sięgnęła po kule, które stały przy łóżku, i wstała.

Przy stole kuchennym siedział Ryan i karmił Jacka.

Stała w drzwiach, nie dowierzając własnym oczom. Ryan naśladował warkot samolotu, a łyżeczka, którą trzymał, frunęła w górę, aby zlecieć znienacka w dół i wylądować w buzi chłopczyka. Janet patrzyła na to zachwycona i nie wiadomo było, kto się najlepiej bawił - Jack, jego babcia czy Ryan.

- Jack nie lubi jajek - odezwała się Abbey.

Syn nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi, oczekując w napięciu następnego samolotu. Czyżby rzeczywiście nie lubił jajek?

- Jeszcze! - krzyknął chłopczyk.

Ryan uśmiechnął się do Abbey, nie przerywając zabawy.

- Siadaj, dziecko - powiedziała Janet, zwracając się do synowej. - Ty też musisz coś zjeść.

Abbey spojrzała na zegar i przeraziła się. Minęła siódma.

- Nie budziliśmy cię, bo przecież musiałaś się wyspać. Wyobraź sobie, że Ryan wydoił wszystkie krowy, i zajęło mu to tylko dwie i pół godziny - opowiadała zachwycona Janet.

- Dwie i pół godziny? - zdumiała się Abbey, patrząc na Ryana. - A czy chociaż cię słuchały?

- Po pewnym czasie zrozumiały, kto tu jest panem...

- Niewykluczone, że będziesz musiała pożyczyć mu kule, albo lepiej ja mu dam laskę - wtrąciła Janet. - Jedna z krów go kopnęła.

- Ojej! - wyrwało się Abbey. - Czy to coś poważnego? Może mi pokażesz?

- Nie ma mowy! - odparł Ryan. - A laska mi niepotrzebna; przydałaby się prędzej miękka poduszka do siedzenia.

- To ci dopiero historia - roześmiała się Abbey.

- Nachylił się, żeby związać nogi krowie, ale zapomniał o tej, co była z tyłu - tłumaczyła Janet, śmiejąc się cicho.

Abbey patrzyła na nią zdumiona. Tak dawno nie słyszała śmiechu swojej teściowej! Janet postawiła na stole talerz, a Abbey osunęła się powoli na krzesło.

Dziś w kuchni była... taka domowa atmosfera. Ryan, który siedział po drugiej stronie stołu, zbierał łyżeczką resztki jajka z buzi jej synka. Kuchnia do tej pory wydawała się zawsze zimna i pusta. Ryan zastąpił im dzisiaj Johna. I podbił zupełnie serca Janet i Jacka.

Czy podbił i moje serce? - zaczęła się zastanawiać. Kiedyś przecież kochałam tego człowieka, a raczej tego chłopca. Ten chłopiec jednak stał się w międzyczasie mężczyzną i jest teraz chirurgiem. Jest ponadto zaręczony i niedługo weźmie ślub, a do domu przyjechał tylko na dwa tygodnie.

Do domu?

To nie był już jego dom. Przyjechał tylko po to, by spędzić tu miodowy miesiąc. Nie ma się więc co przyzwyczajać do jego obecności w kuchni. Za dwa tygodnie już go tu nie będzie.

Przed laty omal jej serce nie pękło, gdy wyjechał. Ale to się już nigdy nie powtórzy!

- Boli cię noga? - spytał Ryan, a Abbey zaczerwieniła się, gdy tylko zauważyła na sobie jego wzrok.

- Nnnie... - skłamała. - No może trochę.

- Dać ci jeszcze trochę morfiny?

- Dziękuję - potrząsnęła głową. - Wezmę w najgorszym razie aspirynę.

- Aspiryna nie wystarczy. To żaden wstyd przyznać się do bólu. Może mógłbym ci pomóc przy kąpieli? Jesteś na pewno potłuczona i poraniona na całym ciele.

- Nie - odparła wymijająco. - Wezmę jednak aspirynę. Po morfinie będę znowu spała.

- Dobrze by ci to zrobiło - wtrąciła Janet.

- Muszę wykapać Jacka i położyć go spać - zaprotestowała Abbey.

- Nie widzisz, że jest już w pizamie? - zdziwiła się Janet. - Przed chwilą wykąpaliliśmy go z Ryanem.

- Z Ryanem? - Abbey przestała cokolwiek rozumieć.

- Tak, ze mną. A ty pewnie myślałaś, że ja już się do niczego nie nadaję, tak? No jak było, Jack?

Chłopiec miał zachwyconą minę. Jack jest zwykle taki nieśmiały, pomyślała Abbey, a teraz...

- Tak mi żal, że nie mogę kapać Jacka. - Z twarzy Janet zniknął uśmiech. - Gdybym go mogła unieść...

- Jest za ciężki - powiedziała Abbey. - Ale wystarczyłoby przecież, żebyś zgodziła się na operację.

- Operację? - spytał Ryan. - Dlaczego właściwie chodzi pani o lasce?

- Zapalenie stawów - wyjaśniła Janet krótko. - Nie ma o czym mówić.

- Jest o czym mówić - zaprotestowała Abbey. - Janet powinna się poddać operacji wstawienia sztucznego stawu biodrowego, ale nie chce się na to zgodzić.

- Musiałabym pojechać do Cairns - wybuchnęła Janet -a przecież nie mogę zostawić cię samej.

- Mogłabym wynająć opiekunkę do dziecka...

- Na miesiąc? A kto się zajmie kurami i kto...

- A kto będzie cię woził na wózku inwalidzkim, kiedy zupełnie przestaniesz chodzić? - przerwała Abbey.

- Nie pojedę do Cairns - rzekła z uporem Janet. - Za nic w świecie.

- Będę cię odwiedzała - obiecała Abbey.

- O tak, z pewnością. Pewnie w wolnych chwilach?

- A dlaczego by nie zrobić operacji na miejscu? - spytał Ryan.

Nie odpowiedziały od razu.

- Ależ to niemożliwe - oznajmiła po chwili Abbey. - Po pierwsze, jestem tu jedynym lekarzem, nie mogę więc operować i być jednocześnie anestezjologiem. Po drugie, nie jestem chirurgiem. Mogę co najwyżej wyciąć wyrostek robaczkowy przy pomocy pielęgniarki zastępującej anestezjologa.

- Ale ja jestem chirurgiem. Przecież ci już mówiłem -uśmiechnął się Ryan. - Mógłbym podjąć się tej operacji.

Znowu zapadła cisza.

- Mógłbyś się jej podjąć? - spytała Abbey sarkastycznie. - Pewnie tak, gdyby nasz szpital był lepiej wyposażony, gdybyśmy mieli anestezjologa i wykwalifikowany personel, gdybyś miał pozwolenie na pracę w Australii. Krótko mówiąc: gdyby babcia miała wąsy.

- Pozwolenie na pracę? A jeśli wszystko uda mi się załatwić, czy myślisz, że pozwolenie będzie trudno otrzymać?



- Może i nie - przyznała. - Nie kończyłeś tutaj studiów, ale mając australijskie obywatelstwo i praktykę, i zważywszy, że nasz szpital leży na głuchej prowincji...

- Na głuchej prowincji?

- Dlatego właśnie mogłam przyjąć twoją pomoc w tym tygodniu - tłumaczyła. - Szpitale położone z dala od dużych ośrodków mają specjalne przywileje. Jeżeli znajdzie się lekarz, który będzie na tyle niemądry, żeby chcieć pracować w takim szpitalu, ułatwia mu się uzyskanie zezwolenia, pod warunkiem, oczywiście, że otrzymał odpowiednie wykształcenie w swoim kraju.

- Nie godzę się na żadną operację! - zawołała Janet. - To szaleństwo! Powiedz sama - zwróciła się do Abbey - kto zajmie się Jackiem, kiedy będę w szpitalu?

- Nie widzisz, że dla Ryana nie ma rzeczy niemożliwych? - przerwała jej Abbey. - Czy nie słyszałaś, że zastąpi mnie w tym tygodniu w szpitalu? A Marcia, nasza sąsiadka z naprzeciwka, została zwolniona z pracy w zeszłym tygodniu i na pewno chętnie zaopiekuje się Jackiem. Nie wynajduj, proszę, nowych przeszkód. Sama widzisz, ile Ryan już zrobił. Ofiarował mi swój miesiąc miodowy, a tobie operację. Ciekawe, co jeszcze wymyśli?

No właśnie, co Ryan jeszcze wymyśli?

Dlaczego im to zaproponowałem? - głowił się Ryan, przysłuchując się rozmowie dwóch kobiet. Co mnie, u licha, podkusiło? Decydować się na operację wstawienia sztucznego stawu biodrowego w takim miejscu...

W gruncie rzeczy nie chodziło mu jednak wcale ani o samą operację, która nie nastęrczała większych trudności, ani o potrzebne wyposażenie i personel, bo mógł je uzyskać przez znajomości. Tylko że...

Tylko że ma przecież odbywać podróż poślubną, a zamiast tego będzie musiał się zająć wypożyczeniem z jakiegoś większego szpitala sprzętu

potrzebnego do operacji. W tym celu trzeba będzie oczywiście poruszyć niebo i ziemię. Zajmie to z pewnością kilka dni, które go dzielą od przyjazdu Felicity.

Felicity z pewnością nie będzie tym wszystkim zachwycona.

Czego nie można powiedzieć o Abbey. Patrzyła na swoją teściową oczami pełnymi łez, a potem zwróciła się do Ryana:

- To byłoby cudowne, gdyby ci się udało wszystko załatwić... - zaczęła łamiącym się głosem.

Zupełnie niespodziewanie dla siebie samego Ryan poczuł, że absolutnie go nie obchodzi, co sobie pomyśli Felicity. On nie ma wyjścia! Musi ulżyć nieco Abbey, która ugina się pod ciężarem obowiązków.

Wkrótce potem zadzwonił telefon komórkowy. Ryan przyłożył słuchawkę do ucha, a Abbey, patrząc na jego twarz, czuła, jak serce podchodzi jej do gardła.

- Co się stało? - wyszeptała przerażona.

- Już go przywieźli? - pytał Ryan zmienionym głosem. - To dobrze, zaraz tam będę.

Wstał gwałtownie, przewracając krzesło.

- Co się stało? - spytała ponownie Abbey. Czuła, że stało się coś strasznego, gdyż Ryan był blady jak kreda.

- Mój ojciec... miał chyba atak serca - odrzekł krótko.

- Dobry Boże - wyszeptała ze strachem Janet, tuląc do siebie Jacka, jakby mogło to zapobiec nieszczęściu.

- Znowu! - Abbey uniosła się z krzesła, biorąc z sobą kule.

- Pomóż mi dojść do samochodu - zwróciła się do Ryana.

Ryan stał bez ruchu, patrząc przerażonym wzrokiem na Abbey.

- Dlaczego powiedziałaś: znowu?

- Bo to nie jest pierwszy atak. Miał ich już w tym roku trzy - wyjaśniła. - Żyje teraz na kredyt.

- Ależ...

- Przestań już mówić, tylko chodź! - zakomenderowała. - Idź spać, malutki - zwróciła się do Jacka, całując go na pożegnanie. - Mamusia musi wracać do szpitala. Babcia będzie z tobą. Nie denerwuj się tylko - rzekła Abbey do Janet. - Zrobię wszystko, co będę mogła. - I zanim Ryan się spostrzegł, pokuśtykała w stronę drzwi.

- Nigdzie nie pojedziesz! - krzyknął za nią, ale było już za późno.

- Musisz mi tylko pomóc wsiąść do samochodu - oświadczyła. - Nie myśl sobie, że ci pozwolę leczyć własnego ojca, a zresztą i Janet, i ja kochamy bardzo Sama.

Obydwoje wiedzieli dobrze, że żaden lekarz nie potrafi nigdy leczyć w sposób odpowiedzialny pacjenta, z którym jest związany uczuciowo. Ryan nie był w stanie przez dłuższy czas wymówić słowa.

- Opowiedz mi krótko historię jego choroby - odezwał się w końcu zduszonym głosem.

Abbey usadowiła się na tylnym siedzeniu, wyciągnęła nogę przed siebie i znowu poczuła pulsujący ból, który promieniował od biodra w dół.

- Chyba ją znasz? - zdziwiła się.

- Nie, nawet nie wiedziałem, że ojciec ma kłopoty z sercem.

- Twój ojciec jest taki sam jak Janet - oznajmiła Abbey. - Tyle tylko, że stan jego zdrowia jest znacznie poważniejszy. Powinien mieć natychmiast wszczepiony by-pass, ale nie chce się na to zgodzić.

- Dlaczego?

Abbey wzruszyła ramionami.

- Mówi, że nie chce opuszczać farmy, ale myślę, że są i inne powody.

- Jakie?

- Wydaje mi się, że on po prostu nie chce dłużej żyć - rzekła cicho. - Jest starym, samotnym człowiekiem. Ma oczywiście nas, to znaczy Janet i mnie z Jackiem, ale to przecież nie to samo.

- Ależ... - Ryan pokręcił głową - to przecież...

- Chcesz powiedzieć, że nie mam racji? - Wzruszyła ramionami. - A nie wiedziałeś nawet, że choruje na serce.

- Przecież piszę do niego listy! - wybuchnął. - Pisuję raz na tydzień.

- Wiem, że pisujesz - potwierdziła. Wiedziała coś o tych listach. - Bardzo ci się to chwali...

- Abbey...

- Dlaczego miał akurat dzisiaj ten atak? - Abbey patrzyła przed siebie. - Coś go musiało zdenerwować albo przestraszyć...

- A skąd ja mogę wiedzieć?

- Sam widzisz...

- Do jasnej cholery...

Nie zwracała najmniejszej uwagi na jego złość. Ktoś mu wreszcie musi powiedzieć prawdę. List raz na tydzień... Pan Henry pokazywał jej z dumą kilka takich listów, a jej omal serce nie pękło, gdy je czytała.

Były to sztywne listy, utrzymane w oficjalnym tonie. Ryan opisywał w nich drobiazgowo swoją pracę i pogodę, a także zawiadamiał o swych podróżach. Na zakończenie pytał zawsze o zdrowie ojca. Nie było wątpliwości, że pisał te listy jedynie z obowiązku.

- A jak się dzisiaj czuł? - spytała Abbey. - Czy bardzo się cieszył z twojego przyjazdu?

- Jeszcze go nie widziałem - odrzekł podniesionym głosem. - Jak wiesz, potrąciłem dziś na drodze rowerzystkę.

- To prawda - przyznała, lecz nie dawała za wygraną. - Czy był bardzo niezadowolony, kiedy powiedziałaś, że przyjedziesz później?

- Jeszcze do niego nie dzwoniłem... Zapadła cisza.

- Czy masz na myśli, że... - Urwała. - Posłuchaj mnie, twój ojciec powiedział mi, że będziesz u niego około południa. O niczym więcej ostatnio nie mówił. Wszystkim opowiadał, że jego syn przyjeżdża do domu, i czekał na ciebie od wielu tygodni. A która teraz jest? Ósma?

- Przecież dołem te twoje cholerne krowy. Abbey z trudem próbowała się opanować.

- Wiem i bardzo ci jestem wdzięczna, ale... Powiedz sam, czy naprawdę nie mogłeś do niego zadzwonić i powiedzieć, że spóźnisz się osiem godzin?

- Musiałem wydoić krowy, zresztą nic mi nie mówiłaś...

- Czego ci nie mówiłam? Czy miałam ci przypomnieć, że masz chorego ojca i że powinieneś do niego zadzwonić?

Czuła, jak wzbiera w niej gniew, a do tego noga bolała ją coraz bardziej. Przez blisko dwadzieścia lat widziała, jak Sam Henry usycha z tęsknoty za synem, i nic nie mogła na to poradzić. A teraz na dodatek Ryan ma do niej najwyraźniej pretensje, jakby to przez nią jego ojciec dostał ataku serca.

Muszę zachować spokój! Nie wolno mi wybuchnąć!

- Gdybym ci cokolwiek powiedziała, wyglądałoby na to, że mam zamiar cię pouczać i traktuję jak bezduszne dziecko - odezwała się w końcu, siląc się na spokój. - Szkoda, że nie wiedziałam wcześniej, że taki właśnie jesteś!

No a potem nie było już, oczywiście, o czym mówić.

## ***ROZDZIAŁ CZWARTY***

Kiedy przyjechali do szpitala, Sam Henry znajdował się na oddziale intensywnej terapii. Ryan pospieszył tam od razu w towarzystwie pielęgniarki, pozostawiając Abbey w samochodzie.

Trzeba przyznać, że budził zaufanie i łatwo zdobywał autorytet. Dyżurna pielęgniarka, która powitała go przy wejściu, podporządkowała mu się od razu, nawet nie pytając Abbey.

Abbey długo patrzyła za nim, gdy szedł szybko korytarzem, tak właśnie, jak powinien poruszać się lekarz w krytycznych sytuacjach. Jeszcze na studiach mówiono jej: W nagłych wypadkach możesz przyspieszyć kroku, ale pamiętaj, żeby nigdy nie biec. Pod żadnym pozorem nie wolno narażać pacjentów na dodatkowe niebezpieczeństwo.

Znów widziała Ryana w roli lekarza. Znała go kiedyś tak dobrze, niemal tak dobrze jak siebie... Dawno temu nawet go bardzo kochała. Myślała teraz o tym ze smutkiem, patrząc, jak znika za drzwiami.

Chłopak, którego pamiętała, kochał swego ojca i nigdy by go nie skrzywdził. Czy ten chłopak jeszcze istnieje?

Nie ma to w końcu większego znaczenia, pomyślała sobie. Ryan sprzed lat to przecież nic więcej jak tylko odległe wspomnienie z dzieciństwa.

Siedziała więc w samochodzie, czując coraz silniejszy ból. Nie miała jednak wyjścia, musiała czekać. Wiedziała, że Ryan prędzej czy później wyśle po nią kogoś, gdy tylko będzie jej potrzebować. Zanim jednak tak się stało, pojawił się przy niej salowy, który chciał usunąć samochód sprzed wejścia.

- Pani doktor! - zawołał zdumiony.

- Och, to ty, Ted. - Uśmiechnęła się z przymusem. - Mógłbyś mi pomóc dostać się do środka?

- Oczywiście! - zapewnił. - Ale co pani doktor tu robi? Eileen mówiła, że potrafił panią samochód. Przecież pani powinna być teraz w domu.

- Nic mi nie jest, mam tylko trochę zranione kolano. Muszę w końcu zobaczyć, co się tam dzieje.

- Doktor Henry zajmuje się swoim ojcem.

- A jak się czuje pan Henry?

- Pojęcia nie mam - przyznał. - Ale nie kazali mi go jeszcze kłaść na katafalku, więc pewnie wszystko będzie dobrze.

Ted był weteranem wojny koreańskiej, w czasie której stał się na poły inwalidą. Wyglądał jak pomarszczone jabłuszko. Przez całe życie był samotny i zdumiał się, gdy Abbey zaoferowała mu pracę. Wiele czasu jej zajęło, by go przekonać, że nie ma racji. Stał się potem jednym z jej najbardziej oddanych i lojalnych pracowników. Zamieszkał w maleńkim mieszkaniu na tyłach szpitala, a szpital stał się całym jego światem.

- Czy mógłbyś mi pomóc wysiąść i posadzić mnie na wózku? - spytała Abbey.

- Już się robi - odparł i wkrótce Abbey jechała szpitalnym korytarzem w stronę oddziału intensywnej terapii.

Ted otworzył drzwi na oddział i pierwszą osobą, którą ujrzała, był Sam Henry. Na widok Abbey uśmiechnął się radośnie.

- Ach, to ty...

Podjechała bliżej i zatrzymała się przy jego łóżku. Ujęła ręce Sama w obydwie dłonie. W ciągu ostatnich lat Sam Henry znaczył w życiu Abbey niemal tyle, co niegdyś jego syn. Zaprzyjaźniła się z nim i zawsze mogła liczyć na jego radę i pomoc.

- Na litość boską, co się stało? - spytała z wyraźnym niepokojem.

- To znowu serce - wyszeptał. - Ale jest już Ryan - dodał, spoglądając na syna z niekłamaną miłością i dumą.

Ryan dostrzegł wzrok ojca i zakłopotany spuścił oczy. Musi się chyba strasznie czuć, pomyślała Abbey. Więc jednak nie zmienił się tak zupełnie... No to dobrze. Niech sobie Sam Henry wierzy, że jego syn jest cudowny.

- Tak mi przykro - zaczęła, ściskając czule rękę Sama. - Czy Ryan już mówił, że to wszystko przeze mnie? Wjechałam mu pod samochód, a potem prosiłam, żeby mi nastawił nogę, no a potem Ryan doił jeszcze moje krowy. A pan na niego czekał i czekał, nie wiedząc, co się dzieje. Naprawdę bardzo mi przykro.

- Ależ nic się nie stało - zapewniał Sam, choć Abbey wiedziała, że to nieprawda. - Powinienem się domyślić, że gdzieś był potrzebny. Inaczej by się z pewnością nie spóźnił. Można przecież na nim polegać.

- Oczywiście, że tak - zapewniła, próbując się uśmiechnąć. Ryan stał z kamienną twarzą, studiując wykres elektrokardiogramu. Podał go potem Abbey.

- Nie widzę tu nic niepokojącego - odezwała się po chwili.

- Poprzedni elektrokardiogram był podobny. - Ten jest trochę gorszy, dodała w myślach.

- Co ty mówisz! - wybuchnął Ryan. - Nic nie wiedziałem, że masz takie słabe serce - zwrócił się do ojca. - Dlaczego mi o tym nie napisałeś?

- Nie jest to chyba najlepsza pora na robienie wyrzutów - zauważyła spokojnie Abbey. - Zaraz zadzwonię do Janet - zwróciła się do Sama, uśmiechając się do niego serdecznie.

- Biedna, siedzi tam i się denerwuje. A teraz powinien pan się przespać.

- Tylko po co mi te wszystkie druciki i przewody? - irytował się Sam.

- Jak to po co? - spytała z uśmiechem. - Żeby zrobić Ryanowi przyjemność. No a poza tym dzięki tym drucikom wiemy, co się dzieje z pana sercem. Co kilka minut dostarczają nam niezbitych dowodów na to, że bije. Gdyby nie to, Ted mógłby zabrać pana do kostnicy.

- Dobrze, już dobrze - wyszeptał Sam. - Idźcie sobie i dajcie człowiekowi pospać.

- Czy zawsze straszysz pacjentów kostnicą, chcąc wymóc na nich posłuszeństwo? - spytał Ryan, wywożąc Abbey na korytarz.



Przy łóżku Sama została pielęgniarka, by śledzić monitory. Prognozy były w miarę dobre. Można było mieć nadzieję, że starszy pan pożyje jeszcze trochę i że uda się go namówić na operację.

- Zawsze - zaśmiała się cicho Abbey. - I muszę ci powiedzieć, że to działa cuda. Zapytaj Teda.

- Teda? - Ryan zmarszczył czoło. - Czy to ta przedziwna postać wyglądająca na upiora, na którą się natknąłem, wchodząc do szpitala?

- Jeśli wyglądał na upiora, z pewnością był to Ted.

- Chyba go już kiedyś widziałem? - zaczął się zastanawiać.

- Niewykluczone. To Ted Hammond. Ryan zatrzymał się gwałtownie.

- To niemożliwe! Przecież pamiętam, że Ted był włóczęgą i uchodził za podejrzanego typu.

- To nieprawda. On był po prostu samotny. Nie wiedział, co z sobą zrobić, i w dodatku nie miał pracy. Kiedy wrócił z wojny z krótszą nogą, opuściła go żona i dzieci. Skończyło się na tym, że zamieszkał na ulicy. No a potem...

- Co było potem? - spytał Ryan, pchając wózek.

- No więc w kilka miesięcy po tym, jak otwarty został szpital, mieliśmy okropną katastrofę samochodową. Pierwszy na miejsce wypadku przybiegł Ted. Zanim przyjechałam karetką, Ted zdążył wydobyć z samochodu kilkoro dzieci, a w chwilę potem samochód spłonął. Poradził sobie znakomicie; właśnie wtedy zaproponowałam mu pracę.

- Przecież on był włóczęgą...

- Wcale nie! To był po prostu stary, samotny człowiek bez rodziny i przyjaciół, i bez celu w życiu - zaprotestowała. - Ludzie tacy jak twoja matka uznali go za włóczęgę, a on był po prostu chory i nieszczęśliwy. I tak już zostało. Ta etykieta przylgnęła do niego na zawsze. Ted nigdy nie pił, ale rzeczywiście przesiadywał całymi dniami na ławkach w parku. Był zaniedbany, bo nie widział powodu, dlaczego by miał zacząć o siebie dbać. A teraz wygląda przecież zupełnie inaczej.

Zapadła cisza. Abbey zagryzła nerwowo wargi. Znowu zaczęła krytykować matkę Ryana! W taki sposób nie zostaniemy przyjaciółmi, pomyślała. Cięży nad nami jakieś fatum.

W tej chwili zbliżyła się do nich pielęgniarka.

- Chciałam zapytać - zaczęła nieśmiało - czy pan doktor wraca na noc do domu?

- Obejrzę tylko chłopczyka, którego przywieźliśmy z plaży, odwiozę doktor Wittner, a potem pojedę się przespać do domu mojego ojca. Niech siostra do mnie zadzwoni w razie potrzeby.

- Ale... - wtrąciła pielęgniarka.

- Posłuchaj mnie - przerwała Abbey. - Nigdy nie nocuję w domu, jeśli w szpitalu znajduje się pacjent z nieomogą serca. A teraz mamy w dodatku jeszcze tego chłopca. Pamiętaj, że jad meduzy nie daje się tak łatwo zneutralizować. Zastępujesz teraz mnie...

- Ależ Abbey...

- Chyba nie zdajesz sobie sprawy z powagi sytuacji. Jeśli u ojca nastąpi zatrzymanie akcji serca, tylko ty będziesz go mógł uratować.

Ryan nie brał nigdy pod uwagę konieczności spania w szpitalu. Abbey ma jednak chyba rację, pomyślał. Wykwalifikowane pielęgniarki mogłyby wprawdzie rozpocząć reanimację, ale...

Odwiezienie Abbey do domu potrwa pięć minut, ale dotarcie do szpitala z farmy ojca zajmie minut piętnaście... Nie ma więc wyjścia. Co jednak będzie, jeśli się okaże, że ma zamieszkać w szpitalu na cały tydzień? Felicity z pewnością nie będzie zachwycona.

- Co robisz z Jackiem, kiedy nocujesz w szpitalu? - spytał.

- Czasem zabieram go z sobą i zostawiam na pediatrii, a kiedy nie ma na to czasu, zostawiam go z Janet.

- Co się dzieje wtedy z krowami?

- Przyjeżdżam je wydoić. Zawsze mam przy sobie telefon komórkowy i w razie wezwania pędzę od razu z powrotem. Pacjenci przyzwyczaili się już, że ich pani doktor pachnie oborą. A krowy, gdy doję je o niewłaściwej porze, nie reagują już tak gwałtownie jak kiedyś.

- Chyba żartujesz? - odezwał się cicho. - Jak kobieta może prowadzić podobny tryb życia?

- Taki już mój los - westchnęła. - Ale przez tydzień będzie inaczej. Teraz ty zakosztujesz czegoś podobnego, a po tygodniu wszystko wróci do normy. A teraz, proszę cię, zawieź mnie do domu.

Ryan przyjrzał się kredowobiałej twarzy kobiety, która zdawała się być u kresu wytrzymałości. Ubrana była nadal w zakrwawione szorty i bluzkę, a w najbliższej przyszłości nie czekało na nią nic poza ciężką pracą. Patrząc na nią, Ryan poczuł, że coś mu drgnęło w sercu. Dawno już nie doznawał podobnego uczucia.

Po prostu mi jej żal, pomyślał, nic ponadto. Miał jednak przy tym ochotę dotknąć jej włosów...

- Wszystko cię pewnie boli...

- Zabierz mnie tylko do domu - poprosiła.

- Może byś tu została?

- Naprawdę nie mogę...

- Uważam, że powinnaś zostać w szpitalu - powiedział, gładząc jakby mimowolnie jej włosy.

Zdawać by się przy tym mogło, że myślami jest nieobecny, on jednak wiedział dobrze, co robi. Dotyk jej włosów działał na niego w niesamowity sposób.

- Co by się wtedy stało z Janet i Jackiem? - spytała, nie zwracając uwagi na jego gest, a raczej starając się go nie zauważać. - Nie zapominaj też, że rano muszę wydoić krowy.

- Ja je wydoję.

- Nie dasz rady.

- Jeżeli ty sobie z tym wszystkim radzisz, to i ja nie będę gorszy. Sama powiedziałaś, że przez najbliższy tydzień muszę żyć twoim życiem, nie mogę więc zapomnieć o krowach.

- Kiedy ty nic nie musisz.

- Wprost przeciwnie.

- Ryan...

- Posłuchaj mnie - zdenerwował się w końcu. - Dojenie krów to dla mnie nic nowego, a mam przy tym, jak ty, dyplom lekarza. No więc proponuję, żebyś nareszcie położyła się do łóżka, zapomniała o pracy i dała mi robić to, co do mnie należy.

Gdybym tylko to potrafiła, westchnęła w duchu. Czy to w ogóle możliwe? Wziąć sobie urlop? Zapomnieć nawet na chwilę o obowiązkach?

- Czy nie rozumiesz, że praca nigdy nie ma końca? - szepnęła zmęczonym głosem.

- Nieprawda, Abbey - powiedział cicho.

To jednak on się mylił. Nie skończył jeszcze mówić, gdy przed głównym wejściem do szpitala zatrzymał się z piskiem hamulców samochód, a w chwilę potem na izbę przyjęć wpadł jak burza młody człowiek. Rozejrzał się dookoła i dostrzegł Ryana.

- Szybko, błagam niech pan się tylko pospieszy. Tessa zaczęła rodzić.

- Trzeba ją będzie wysłać do Cairns.

- Co ty opowiadasz!

Na korytarzu przed salą porodową Ryan i Abbey wymieniali gorączkowo uwagi. Poród już się zaczął.

- Posłuchaj, Abbey, ja nie jestem w stanie przyjąć porodu.

- To urodzi sama. Na litość boską, Ryan! Musisz tylko sprawdzić stopień rozwarcia szyjki, skontrolować akcję serca płodu i być w pobliżu, żeby wyciągnąć dziecko. Myślę zresztą, że położna już część roboty zrobiła.

- Ależ Abbey! Jestem przecież chirurgiem. Nigdy nie odbierałem porodów.

- Nie dostałbyś dyplomu, gdybyś nie był przy kilku porodach - stwierdziła kategorycznie. - Chyba że w Stanach inaczej się kształci lekarzy.

- Przecież to było bardzo dawno...

- Krowy też doileś dawno! Z tym jest tak, jak z jazdą na rowerze. Nie sposób zapomnieć, skoro się człowiek raz nauczył. W tej dziedzinie nic się nie zmieniło i o ile wiem, dzieci nadal się rodzą tak jak sto lat temu.

- Nie mam przecież tutaj prawa praktyki - jęknął. - Jeśli coś się nie uda, wytoczą mi proces i zapłacę majątek.

- Będziesz musiał zapłacić dużo więcej, jeżeli coś się stanie, a ty będziesz beczynnie stał i rozprawiał o pieniądzach.

- Posłuchaj, Abbey... Abbey westchnęła.

- Najlepiej będzie, jeśli postawimy sprawę jasno. Czy chcesz, żebym to ja przyjęła poród? Zaofiarowałeś mi pomoc, ale czy ma to być pomoc tylko w prostych sprawach? Niewykluczone, że potrafię odebrać poród, nawet siedząc na wózku. A jeśli mnie jeszcze uniesiesz nieco w górę, trzymając pod pachy, to...

Z sali porodowej wyszła położna.

- No to kto mi pomoże? - spytała ostrym głosem. - Jak tak dalej pójdzie, sama odbiorę ten poród.

Ryan westchnął i podwijając rękawy, wszedł na salę, gdzie leżała Tessa Ludlow.

Poród okazał się cięższy, niż Abbey przewidywała. Tessa Ludlow rodziła po raz pierwszy. Była przestraszona i Ryanowi niełatwo przyszło ją uspokoić. Poród zakończył się szczęśliwie, ale nie obeszło się bez użycia kleszczy położniczych.

Okazało się, że Ryan wszystko doskonale pamiętał. Abbey miała rację. To było dokładnie tak jak z jazdą na rowerze.

Albo z miłością do Abbey.

Przyszło mu to do głowy właśnie w chwili, gdy wziął na ręce krzyczącego czerwonego noworodka, a na samą myśl o tym nie mógł powstrzymać uśmiechu. Abbey zmusiła go do przyjęcia porodu i ku swemu zdumieniu odkrył, że sprawiło mu to wielką satysfakcję. Tessa i jej mąż patrzyli teraz na niego, jakby to za jego sprawą wydarzył się cud i na świecie pojawiło się ich maleństwo.

Ileż to już razy Abbey zmuszała go do czegoś, co sprawiało mu potem ogromną przyjemność! „Zdejmij buty, Ryan”, namawiała go kiedyś. „Jak można łapać kraby, nie czując palcami mułu?”

Założył pacjentce kilka szwów, zbadał dokładnie dziecko - zdumiewające, jak bardzo było mu bliskie - i czując się znacznie pewniej, poszedł szukać Abbey.

Znalazł ją w poczekalni śpiącą na kozetce. Przyglądał jej się bardzo długo. Była to ta sama Abbey, którą znał przed laty. Wyglądała teraz jak chucherko. Od swojej matki słyszał zawsze, że Abbey i pani Rhodes to hołota.

Jak bardzo było to niesprawiedliwe!

Patrząc na Abbey pomyślał, że jest ona prawdziwą damą. Obdarzona silną wolą i odwagą, ma równie wielkie serce. Mając takiego przyjaciela, można być dumnym.

Jak by się potoczyło moje życie, gdybym nie wyjechał z Szafirowej Zatoki? - zaczął się zastanawiać. Usłyszał właśnie płacz nowo narodzonego dziecka i kroki pielęgniarki, idącej spiesznie korytarzem. A po chwili dobiegły go odgłosy przekomarzania się i ciche śmiechy. To ojciec dziecka rozmawia z pielęgniarką. Wszyscy się tu dobrze znają.

Jak niewiele wspólnego ma szpital w Szafirowej Zatoce ze szpitalem, w którym Ryan pracował w Stanach. Jest to zupełnie inny świat.

Chyba zwariuję przez ten tydzień, pomyślał. Jak można pracować gdzieś, gdzie nie prowadzi się badań naukowych? No i nie ma tu przecież żadnego

życia towarzyskiego. Nie mówiąc o koncertach, galeriach czy restauracjach. Jak Abbey może to wytrzymać?

Raz jeszcze spojrzął na śpiącą dziewczynę i coś ścisnęło go za serce, przeniknął ostry ból... Tak wiele by dał, by móc ją stąd zabrać, osłonić przed cierpieniem, którego ślady dostrzegł na jej twarzy.

Oprzytomniał jednak szybko. Chyba zwariowałem! Nie będę przecież rzucał pracy i zrywał stosunków towarzyskich z powodu jakichś sentymentalnych wspomnień.

W drzwiach stanął Ted.

- Chyba nie będzie jej pan zabierał teraz do domu, panie doktorze?

- Zabije mnie, jeśli tego nie zrobię.

- Coś mi się wydaje, że nie będzie miała na to siły - uznał Ted z westchnieniem.

- Czy pani Wittner poradzi sobie z Jackiem? - spytał Ryan.

- Zadzwoń do niej, kiedy zobaczę, że nasza pani doktor zasnęła.

Wszystko jest w porządku.

- A Jack? Miałem też wydoić krowy...

- Jack już śpi. Pani Wittner da mu jutro śniadanie, a krów dzisiaj nie trzeba doić. Do rana coś się jeszcze wymyśli. Na razie siostra dyżurna przygotowała dla naszej pani doktor łóżko w pokoju numer cztery, a dla pana doktora w siódemce. - Przyjrzał się uważnie Ryanowi. - Coś mi się wydaje, że i pan doktor powinien uciąć sobie drzemkę.

Ted ma z pewnością rację. Zmiana czasu podczas lotu pozbawiła Ryana dwóch nocy snu. A do tego wydarzenia całego dnia... Wypadek samochodowy, atak serca ojca, no i wreszcie poród.

Czas więc na odpoczynek. Ale najpierw...

Przyznał rację Tedowi i podszedł do kozetki, by podnieść Abbey. Spodziewał się sprzeciwu, nie obudziła się jednak. Zmęczenie, szok po

wypadku i działanie morfiny oszołomiły ją zupełnie. Ułożyła się wygodnie w jego ramionach i westchnęła przez sen.

Szedł korytarzem, niosąc ją na rękach, i wiedział dobrze, że w życiu jego dokonywała się właśnie jakaś zmiana. Coś z tym trzeba będzie zrobić, pomyślał. Ale będzie na to czas rano. Na razie muszę się wyspać!

Rano zacznę nowy dzień jako znany chirurg ortopeda, narzeczony Felicity. Ale to będzie dopiero rano.

Dopiero rano...

## ***ROZDZIAŁ PIĄTY***

Abbey obudziła się w porze śniadania. Zanim otworzyła oczy, poczuła smakowity zapach bekonu, pierwszą zaś rzeczą, jaką ujrzała, była taca ze śniadaniem. A zaraz potem ujrzała Ryana.

- No, nareszcie! Może powinnaś jeszcze trochę pospać, ale chciałem dopilnować, żebyś zjadła śniadanie.

- Kiedy ja... ty...

Abbey próbowała zrozumieć, co się z nią dzieje. Wieczorem położyła się na chwilę na kozetce, a teraz...

- Czy coś się stało? - spytał z uśmiechem.

- Moje ubranie... - Naciągnęła kołdrę pod brodę. - Co się stało z moim ubraniem?

- Przecież nie jesteś naga - zauważył. - Mogłabyś chociaż podziękować! Żebyś wiedziała, jak namęczyliśmy się z siostrą dyżurną, żeby cię ubrać w szpitalną koszulę. Wiem, że bywają ładniejsze koszule, bardzo by ci było na przykład do twarzy w czarnym, ale nic innego nie mieliśmy pod ręką.

Abbey ledwo go słyszała. Było jej zupełnie obojętne, co miała na sobie. Interesowało ją jedynie to, kto ją ubierał, a raczej - kto rozbierał.

- To siostra mnie przebierała? - spytała, siadając na łóżku.



- Pomagałem jej, oczywiście, ale tylko do pewnego momentu - zapewnił.  
- Pamiętasz przecież, jakie miałaś ubranie. Bałem się infekcji.

- A gdzie moja bluzka?

- Bardzo mi się nie podobała - oznajmił apodyktycznym tonem, jakby to właśnie rozstrzygało o wszystkim. - A szorty były zupełnie podarte.

- Co zrobiliście z moim ubraniem?

W odpowiedzi Ryan pokazał jej nożyczki leżące na stoliku.

- Śladu po nim nie zostało. Rozbierając cię, rozciąliśmy szorty i bluzkę, żeby cię nie męczyć, i Ted zabrał wszystko do kostnicy. Będzie miał szmatki do kurzu. Teraz posłuchaj, gdybym był tobą, zjadłbym śniadanie, zanim ostygnie, zwłaszcza że kucharka stawiała na głowie, żeby ci dogodzić.

- Kiedy ja chcę moje ubranie.

- Mówię ci przecież, że zostały z niego drobne kawałki - odrzekł, wkładając jej do ust grzanekę.

Posłusznie wzięła do ust kęs, spojrzała jednak na niego piorunującym wzrokiem.

- Czy coś się stało? - zapytał uprzejmie.

Musiał się dobrze wyspać, pomyślała. Widać było, że właśnie się ogolił i wziął prysznic. Doszedł najwyraźniej do siebie i panował nad sytuacją, czego na pewno nie można powiedzieć o niej.

Była przy tym piekielnie głodna. Wczoraj wieczorem nic prawie nie zjadła, w tej samej bowiem chwili, w której zasiadła do stołu, przyszła wiadomość o ataku serca Sama.

- To w co mam się ubrać? - spytała z ustami pełnymi jedzenia, nie przestając przy tym mierzyć Ryana rozgniewanym wzrokiem.

- Zaraz coś wymyślimy - odparł. - Mówiłem ci przecież, że tamto można było tylko wyrzucić. Z pewnością nie zasłużyło na uroczysty pogrzeb.

Nie uśmiechnęła się, jedząc w milczeniu dalej. Nie miała pojęcia, dlaczego obecność Ryana wywołuje w niej irytację. Starając się o tym nie

myśleć, nadziała na widelec plasterek bekonu, obejrzała go dokładnie ze wszystkich stron, a potem włożyła do ust.

- Nie mam innego ubrania - zauważyła.

- Nigdy w to nie uwierzę - odparł, patrząc na nią kpiąco.

- Wiem, że jesteś niezamożna, ale nie uwierzę nigdy, że całe swoje życie w roli lekarza, matki i gospodyni spędzasz w jednych szortach i trykotowej bluzeczce.

Spojrzała na niego groźnie.

- Nigdy nic podobnego nie twierdziłam! Chciałam tylko powiedzieć, że tutaj nie mam innego ubrania. A poza tym obiecałeś zawieźć mnie do domu.

- Nie mam zwyczaju wysyłać do domu nieprzytomnych pacjentów. To byłoby sprzeczne z etyką. A ty straciłaś przytomność na całe dwanaście godzin, zanim mogłem spełnić daną ci obietnicę.

- Po prostu spałam! I dobrze wiedziałeś, że ja tylko śpię.

- Nabrała na widelec jajko i uniosła go do ust; nagle widelec zawisł w powietrzu. - Co ty powiedziałaś? - Widelec wylądował z powrotem na talerzu. - Mówisz, że spałam dwanaście godzin?! - Spojrzała na zegar wiszący na ścianie.

- Dziewiąta! Jak mogłeś? - zawołała, spuszczaając nogi z łóżka.

Ryan stał jednak na jej drodze.

- A gdzie to się wybierasz? - zapytał.

- Do domu. - Z jej głosu biła rozpacz. - Przecież jest dziewiąta! Krowy chyba oszaleją, a Janet będzie je na pewno próbowała wydoić. Co będzie wtedy z Jackiem?

- Ted zajął się krowami.

- Ted?

- Chciałem je wydoić, ale dowiedziałem się od Teda, że okoliczni farmerzy ustawili się w kolejce, żeby obsłużyć twoje krowy. - Położył ręce na jej ramionach, jakby chciał ją zatrzymać, i ciągnął: - Ted mi powiedział, że wszyscy cię tu bardzo lubią i cenią, i że nie ma takiej rzeczy, której by dla ciebie

nie zrobili. Dziś rano, gdy zwrócił się z prośbą o pomoc w twoim imieniu, na farmę przybiegło pół wioski.

- Kiedy ja nie chcę! - W oczach Abbey pojawiły się łzy.

- Nie będę więcej nikogo prosić o pomoc. Wszyscy mi już tyle w życiu pomogli. Wtedy, gdy umierał John, wtedy, gdy umarł... i potem, kiedy zostałam sama, będąc w ciąży. To wystarczy. Teraz już damy sobie radę.

- Chcesz powiedzieć, że już nigdy nie skorzystasz z niczyjej pomocy?

- Nie! Nigdy, bo nie chcę.

- Ale Ted mi mówił, że w promieniu kilkudziesięciu kilometrów wszyscy korzystają z twojej pomocy - zauważył Ryan. - Jeździsz do chorych o każdej porze dnia i nocy. Udało ci się zmusić władze do udzielenia pomocy finansowej na budowę szpitala. Po raz pierwszy mieszkańcy Szafirowej Zatoki i okolicy mają dzięki tobie opiekę medyczną na tak wysokim poziomie. Ted mówi, że ty bez przerwy tylko dajesz i dajesz, więc wszyscy chcą ci się jakoś odwdziaczyć. Łatwiej jest czasami dawać, ale trzeba się również nauczyć przyjmować dary.

- Nic nie rozumiesz. - Abbey odgarnęła włosy z czoła. - Tylko Janet...

- Rozmawiałem z Janet - przerwał jej. - Byłem u niej godzinę temu i powiedziałem, że zatrzymuję cię w szpitalu do jutra rana. Rozmawiałem też z Marcją; obiecała pomóc Janet w opiece nad Jackiem nawet przez cały tydzień, a farmerzy będą kolejno doili twoje krowy, dopóki ci noga nie wyzdrowieje. A Janet...

- Janet będzie bardzo z tego powodu nieszczęśliwa.

- Rzeczywiście była dosyć zdenerwowana - przyznał - wytłumaczyłem jej jednak, że tu chodzi o twoje zdrowie. A potem wygłosiłem jej to samo kazanie o dawaniu i braniu co tobie. No i robi w tej chwili wrażenie zadowolonej.

- Ależ ona się nigdy na to nie zgodzi...

- Już się zgodziła.

- Nie wierzę ci.

Ryan przysunął do siebie telefon i wykręcił numer.

- Najlepiej niech ci sama wszystko powie. Proszę - podał jej słuchawkę - porozmawiaj sobie z Janet.

W chwilę potem Abbey odłożyła słuchawkę na widełki, patrząc ze zdumieniem na Ryana.

- Nie wiem, jak to zrobiłeś.

- Umiem najwyraźniej podbijać kobiece serca. A teraz kończ śniadanie - polecił, sadowiąc się w fotelu. - Muszę cię prosić o pomoc w kilku sprawach. Jedz, a ja będę pytał.

- Jaką pomoc?

- Będę mówił dopiero wtedy, kiedy zaczniesz jeść.

- Dobrze, już dobrze - zachnęła się, wkładając do ust jajko. - Ale nie możesz mi przecież organizować życia.

- Na razie to nie jest twoje życie - zauważył. - Zawarliśmy umowę. Jechałem za prędko, przeze mnie masz chorą nogę i ja teraz spłacam długi. Spędzasz za mnie miodowy miesiąc, a ja za ciebie pełnię dyżury.

Abbey nagle przestała go słuchać.

- Jak się czuje twój ojciec? - spytała z niepokojem.

- Zupełnie dobrze - odparł. - Mam wrażenie, że miał wczoraj nie tyle zawał, co atak dusznicy. Na razie wszystko powróciło do normy, ale oczywiście zmiany w sercu są nieodwracalne...

- Powinien mieć jak najszybciej wszczepiony by-pass.

- Ale on się nie zgadza. Rozmawiałem z nim o tym rano. Abbey przyjrzała mu się uważnie.

- O której wstałeś? - spytała.

- O piątej - odparł, wzruszając ramionami. - Musiałem podać morfinę temu nieszczęśnikowi, którego zaatakowała meduza. A że ojciec już nie spał, więc ucieliśmy sobie pogawędkę.

- Rozmawialiście o by-passach?

- O by-passach i o innych sprawach. W każdym razie nie chce się zgodzić na operację.

Abbey pokiwała głową.

- Już ci mówiłam. On chce po prostu umrzeć.

- Co ty opowiadasz!

- Czy ty naprawdę nic nie rozumiesz? Pomyśl tylko, jest zupełnie sam, a jedyne go syna nie widział przez siedemnaście lat.

- Na litość boską...

Słyszając zniecierpliwienie w jego głosie, Abbey pokiwała głową.

- Wiem, wiem, to nie moja sprawa. Powiedz mi lepiej, jakiej pomocy ode mnie potrzebujesz.

- Czyżbym cię prosił o pomoc?

- Nie pamiętasz już? Pomyśleć sobie, wielki doktor Ryan Henry potrzebuje pomocy!

W oczach Abbey zaświeciły figlarne błyski, a Ryan robił wrażenie zupełnie zbitego z tropu. Do żartów z własnej osoby nie był najwyraźniej przyzwyczajony.

- Czyżbyś uważała mnie za zarozumialca? - Pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Zgadza się.

- Ależ to nieprawda.

- Może masz rację, ale wobec tego, skoro tak troszczysz się o innych, to...

- Abbey spojrzała na niego błagalnie - to pewnie przyniosłeś mi z domu jakieś ubranie?

- Nie.

- A widzisz! Miałam więc rację; jesteś człowiekiem bez serca, zarozumiałym i bezdusznym despotą...

Ryan westchnął ciężko. Nie chciał, by cały ranek minął im na złośliwym przekomarzaniu się.

- Dajmy sobie z tym spokój - zaproponował - i przejdźmy do rzeczy. Otóż przeglądałem karty pacjentów i w kilku wypadkach nic nie mogłem zrozumieć.

- Pewnie dlatego, że poza mną nikt ich nie czyta - wyznała najwyraźniej skruszona. - Słuchaj, znajdź mi jakieś ubranie, a zrobię z tobą obchód i wszystko ci opowiem.

- Zapewniam cię, że nie będziesz się dziś ubierała i z pewnością nigdzie się nie wybierzesz.

- Ależ...

- Już powiedziałem.

- A jeśli obiecuję, że będę cały czas na wózku? - spytała pokornym głosem. - I będę cię we wszystkim słuchać...

- Abbey...

- Proszę cię - szepnęła z uśmiechem, który rozjaśnił jej oczy.

Ryan ustąpił. Zawsze jej przecież ustępował.

- No dobrze. Za dziesięć minut przyniosę ci szlafrok, ale musisz przedtem skończyć śniadanie. Jeśli zobaczę coś na talerzu, zostaniesz w łóżku.

- Tak jest, panie doktorze!

Szpital w Szafirowej Zatoce mógł pomieścić piętnastu pacjentów. Na oddziałach przebywało teraz ośmiu chorych, a w domu opieki mieszkały cztery osoby. Wszyscy pacjenci czekali na pojawienie się pani doktor na wózku inwalidzkim, popychanym przez człowieka, którego nie widzieli blisko dwadzieścia lat.

- Toż to Ryan Henry! - zaśmiał się stary pan Thomlinson, wyciągając przy tym rękę. - Widzę, że stara przyjaźń nie rdzewieje.

- Stara przyjaźń nie rdzewieje?

- No tak, znowu jesteście razem. Ty i Abbey. Pamiętam, jak kiedyś przyłapałem was na wypuszczaniu homarów z zastawionych przeze mnie sieci. Podpłynęliście do skałek, jedno miało dwanaście lat, drugie osiem, i nurkowaliście, wydobywając i puszczając na wolność te malutkie... Jeszcze

zrobiliście mi wykład o tym, że nie należy się znęcać nad dziećmi. - Znowu zaśmiał się cicho. - Miałem wtedy wielką ochotę spuścić wam lanie, ale muszę przyznać, że od tej pory nigdy mi się nie zdarzyło złapać małego homara.

Chwycił go atak kaszlu, i Abbey zaczęła mu robić wymówki.

- No właśnie, to są skutki podobnych oskarżeń - stwierdziła. - Pan Thomlinson dwukrotnie przechodził poważne zapalenie płuc - zwróciła się do Ryana. - W obydwu wypadkach zaatakowane były oba płuca. Wiele wskazuje na to, że przyczyną były nocne połowy i długie przebywanie w mokrym ubraniu. A poza tym - uśmiechnęła się do pacjenta - jestem przekonana, że pan nadal łowi maleńkie homary.

- Nic podobnego! - Bert Thomlinson był najwyraźniej urażony. - Nigdy nie zapomnę tego widoku... Byłaś mała, ledwie mi wtedy sięgałaś do pasa i oskarżałaś mnie o łapanie świeżo urodzonych homarów. A obok stał Ryan gotów cię bronić aż do ostatka! Prawdę mówiąc, czułem się wtedy jak dzieciobójca... - Opadł na poduszki i uśmiechnął się do Abbey. - To dobrze, że jesteście znowu razem.

Podobnego zdania byli wszyscy starsi pacjenci szpitala. Witali Ryana z niekłamaną radością, on zaś odkrył, że sprawia mu to prawdziwą przyjemność. Najlepiej przyjął go oczywiście ojciec. Oczy starszego pana rozbłysły radością, gdy tylko Ryan wszedł do pokoju. Na widok Abbey rozjaśnił się jeszcze bardziej.

- Jak twoja noga? - spytał ją, ściskając przy tym mocno rękę syna.

Czy Ryan naprawdę nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo ojciec go kocha? - myślała Abbey ze smutkiem. Czy on nigdy nie zrozumie, że suche listy raz na tydzień to trochę za mało?

- W lepszym stanie niż pana serce - powiedziała bez ogródek. -

Najwyższa pora zająć się wszczepieniem by-passu - dodała. - Musi pan to zrobić jak najszybciej.

- Ryan mówi to samo. Ale ja nic nie muszę; to w końcu moje serce i mogę z nim zrobić, co zechcę.

- Nawet pozwolić mu stanąć?

- Abbey...

Spojrzała niepewnie na Ryana, a potem mówiła już tylko do Sama Henry'ego:

- A gdyby Ryan zajął się farmą przez czas operacji? I potem zaopiekował się panem aż do zupełnego wyzdrowienia?

Zapadła cisza.

Ryan nie powiedział słowa. Co ta Abbey opowiada! - myślał. Na litość boską! Musiałbym tu utknąć co najmniej na miesiąc.

- Ależ Abbey... ja nie mogę.

- Oczywiście, że nie możesz - zgodził się ojciec ze smutnym uśmiechem.

- Posłuchaj, Abbey, to by nie miało najmniejszego sensu. Ryan nie może rzucić wszystkiego, żeby się mną zajmować. No i ma narzeczoną, prawda, synu? Ona z pewnością nie chciałaby tu siedzieć i zajmować się chorym staruchem.

Felicity z pewnością by nie chciała. Oczywiście, że nie. Felicity jest znaną specjalistką w dziedzinie chorób nowotworowych i z trudem zdołała wygospodarować trochę czasu na miodowy miesiąc. Jakim cudem miałyby jeszcze znaleźć kilka dodatkowych tygodni...

Sam opadł na poduszki. Nie ścisnął już ręki Ryana. Pofolgował sobie przez chwilę, nie kryjąc się z miłością do syna, a teraz wszystko ma być znowu po staremu.

Abbey siedziała nieruchomo, patrząc przed siebie martwym wzrokiem.

Naprawdę nie mogę tu zostać, myślał Ryan.

Ale wiedział też, że w żaden sposób nie potrafi teraz odejść... Ojciec znowu trzyma go za rękę, a oczy Abbey...

- Nie widzę powodu, dla którego miałbym nie zostać - odezwał się w końcu. Uścisnął przy tym rękę ojca. - Mogę tu przecież pracować naukowo.



Muszę napisać kilka artykułów, a mam z sobą komputer, nic więc nie stoi na przeszkodzie...

Ryan nie rozstawał się nigdy z komputerem. Nie wyobrażał sobie zaprzestania pracy nawet w czasie podróży poślubnej.

Nieobecność w szpitalu przez ponad dwa tygodnie wydawała mu się zupełnie nie do pomyślenia. Zwłaszcza że Richard Crogin nie ukrywał, że chętnie by zajął jego stanowisko. Wystarczy teraz przedłużony urlop...

I nagle niespodziewanie przestało się to wszystko liczyć.

Poczuł bowiem rękę ojca w dłoni, a oczy Abbey promieniały szczęściem.

- Naprawdę? - spytała bez tchu. - To cudownie! Ryan poczuł, że podjął słuszną decyzję.

- Oczywiście, że tak - odrzekł, a potem zwrócił się do ojca: - Jeśli zgodzisz się na operację, zostanę co najmniej miesiąc.

Sam patrzył pytająco na syna, Abbey zaś posmutniała. Miesiąc, a co potem? Miesiąc, z którego Sam spędzi zapewne ze dwa tygodnie w szpitalu w Cairns. Ryan nie zastanawia się wcale, co będzie potem z ojcem...

Niewykluczone więc, że Sam nie przystanie na podobną propozycję.

Oczy Sama błądziły po twarzach Ryana i Abbey; starszy pan wyraźnie się ożywił. Abbey dawno już go takim nie widziała.

- A co z Felicity? - zapytał.

- Porozmawiam z nią. Może trzeba będzie inaczej to wszystko ułożyć.

- Zmienić termin ślubu?

- Nie wiem jeszcze. Może po ślubie ona po prostu wcześniej wróci.

Tak, to byłby dobry pomysł. Ale niewykluczone, że Felicity będzie jednak chciała mieć prawdziwy miodowy miesiąc i ślub trzeba będzie wziąć w innym terminie, a to by oznaczało odłożenie wszystkiego na rok lub więcej.

Trudno. Nie ma to w końcu znaczenia.

Ale dlaczego? - zaczął się zastanawiać. Dlaczego nie ma to rzeczywiście żadnego znaczenia?

Po co tracić czas na rozmyślenia, najważniejsze jest zdrowie ojca, jego zgoda na operację, zdecydował w końcu.

- Tato, musisz się zgodzić. - Ryan patrzył ojcu prosto w oczy. - Bardzo chcę, żebyś zgodził się na operację. Twoje serce jest teraz w takim stanie, że możesz mieć w każdej chwili atak, który zakończy się śmiercią. A ja naprawdę nie chcę, żebyś umierał.

- Mówisz to szczerze?

- Pewnie, że tak.

I była to prawda. Ryan nie mógł zapomnieć zmartwiałej twarzy ojca, gdy odlatywali z matką z Australii. Patrzył na nich pustym wzrokiem. Ryan sądził, że była to obojętność.

Abbey wytłumaczyła mu, że się mylił, i właśnie w tej chwili zrozumiał, że miała rację. Ojciec z pewnością go kochał. Odkrycie to nappełniło Ryana radością. Za nic nie chciał tej miłości stracić. Nie chciał stracić ojca, którego dopiero co odzyskał.

Sam przyglądał się Abbey i synowi. I uśmiechał się.

- Może rzeczywiście pójść na tę operację - wyszeptał. - Mówisz, że zostaniesz tutaj cały miesiąc?

- Tak.

- Kto wie, co może się jeszcze wydarzyć przez ten miesiąc - zamyślił się Sam. - Może warto zaryzykować.

Abbey nie widziała Ryana przez następne parę godzin. Kazał jej się położyć do łóżka i przykazał pielęgniarce, aby jej nie pozwoliły wstawać, a sam wyruszył na obchód i do przychodni przyszpitalnej. O jedenastej przyjechała karetka z Cairns, by zabrać Sama, lecz Abbey spała już wtedy jak zabita. Jack i Janet mieli pomoc, krowy też były dopilnowane. Szpitalem kierował Ryan.

Pierwszy raz od bardzo dawna Abbey nie miała się czym martwić - mogła więc spać. Obudziła się w porze lunchu, a Eileen dopilnowała, by zjadła

wszystko, co jej podano. Po chwili znów zasnęła. Gdy ocknęła się następnym razem, zobaczyła Ryana. Stał nad jej łóżkiem i uśmiechał się z zadowoleniem.

- Jak się zaraz nie obudzisz, to prześpisz porę kładzenia się spać - zażartował.

- Pojęcia nie mam, dlaczego tak dużo śpię - mruknęła. -Przecież w końcu nic takiego mi się nie stało.

- Nic ci się nie stało? Przecież boli cię na pewno całe ciało, każda kosteczka i każdy mięsień.

Poruszyła się na łóżku.

- Każda kosteczka? Może masz i rację.

- No właśnie - zauważył, dotykając delikatnie jej policzka, co bardzo ją zmieszało. - Jesteś do tego przemęczona - dodał, przysuwając sobie krzesło. - Posłuchaj winie - mówił dalej ściszym głosem. - Nie możesz prowadzić takiego trybu życia. Zdażyłem się już zorientować, ile masz pracy w szpitalu. Tutaj są potrzebni dwaj lekarze. A ty masz jeszcze na głowie Jacka i farmę, możesz więc pracować tylko na pół etatu.

- Kiedy to jest zupełnie niemożliwe!

- A to dlaczego?

- Bo żaden lekarz nie chce mieszkać na zapadłej wsi.

- Nawet w tak pięknej okolicy jak Szafirowa Zatoka?

- Lekarze chcą na ogół pracować w dużych szpitalach i mieć możliwość konsultacji ze specjalistami. Potrzebne im też są prywatne szkoły i uniwersytety dla dzieci. A ja nie mogę sobie pozwolić na to, żeby mniej pracować, bo mam długi, które muszę spłacić.

- Po Johnie?

- To nie twoja sprawa.

- Może i nie moja, ale rozmawiałem dziś z jednym z twoich pacjentów, panem Ellisem, który jest dyrektorem banku. Zachorował na półpasiec.

- Półpasiec? Biedak! Półpasiec jest taki bolesny. - Abbey z wrażenia usiadła, opierając się o poduszki. - Sposoby leczenia zmieniły się od czasów twoich studiów - zauważyła. - Czy podałeś mu już acyclovir? Tłumi chorobę w zarodku i skraca czas występowania bólu. Leczenie trzeba zacząć w ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin.

- Ależ ja doskonale znam acyclovir - uspokoił ją Ryan.

- Nie martw się, nie jestem wprawdzie lekarzem ogólnym, ale wypracowałem sobie doskonałą metodę, która mi pozwala sprawiać wrażenie lekarza odpowiedzialnego i znającego się na rzeczy. Podłączyłem się do Internetu, położyłem na biurku mój przenośny komputer, napisałem hasło „półpasiec” i...

- No dobrze, ale co robił wtedy pan Ellis? - zaniepokoiła się Abbey.

- Powiedziałem mu, że wpisuję uwagi na temat jego dolegliwości, a przez ten czas udało mi się uzyskać informacje o najnowszych metodach leczenia półpaśca. Sprawdziłem następnie, jakie są dawki zalecanych leków i pan Ellis z pewnością uznał, że jestem we wszystkim doskonale zorientowany. Aha, byłbym zapomniał! - Uśmiechnął się szeroko. - Uzyskałem tymczasowe zezwolenie na praktykę w Australii.

- O mój Boże! Zupełnie o tym zapomniałam...

- Trudno się dziwić - zauważył, uśmiechając się znowu. A ten jego uśmiech, pełen ciepła i troski, napełnił ją całą przedziwnym uczuciem. - Trudno się dziwić - powtórzył. - Nie czujesz się przecież dobrze, i to nie tylko z powodu wypadku. Doprowadziłaś się do stanu absolutnego wyczerpania. A pan Ellis mówi...

- Jak mogłeś rozmawiać o mnie z dyrektorem banku? - spytała oburzona.

- Z nikim o tobie nie rozmawiałem - potrząsnął głową. - Tylko słuchałem, co mówią pacjenci, którzy jeden po drugim wchodzili do gabinetu. Wszyscy mi najpierw wymyślali, albo przynajmniej mi wyrzucali, że cię potrąciłem, a potem wyrażali zaniepokojenie z powodu stanu twojego zdrowia. Pan Ellis poszedł

jeszcze dalej. Powiedział mi, że twoje długi wzięły się z hazardu Johna, który nie bardzo wiedział, co robi, bo był wtedy w strasznym stanie. Doradza ci więc gorąco, żebyś ogłosiła stan bankructwa.

- A jak to się robi?

- Wystarczy, że weźmiesz adwokata, a on już za ciebie wszystko załatwi. Pan Ellis powiedział jeszcze, że na pewno nie stracisz farmy i że dom także nie może ci zostać zabrany.

- A Jack, gdy dorośnie, dowie się od ludzi, że jego ojciec nie spłacił długów - zauważyła Abbey. - Nie, dziękuję ci, ale nigdy się na to nie zgodzę. I proszę cię, przestań się wtrącać w moje sprawy.

Ryan zmieszał się. Brian Ellis mówił tak przekonująco... Abbey ma po prostu ogłosić bankructwo, zlikwidować w ten sposób wszystkie długi, a potem zatrudnić lekarza, by przejął połowę jej obowiązków. Gdyby to się udało, mógłby wrócić do Stanów z czystym sumieniem, wierząc, że jej pomógł.

Nie chciał wyjeżdżać, dopóki nie będzie miał pewności, że jego przyjaciółce nic nie zagraża. Czy jednak zdoła to osiągnąć, jeżeli będzie nadal zawzięta, dumna i uparta jak osioł? Doszedł w końcu do przekonania, że nie może jej tak zostawić. Nigdy by sobie nie darował, gdyby wyjechał, zostawiając ją z długami, kłopotami i przeciążoną pracą.

- Powiedz mi, kto jeszcze był poza panem Ellisem? - spytała Abbey, wrywając go z zadumy.

- Kto jeszcze był? No więc przyszedł stary Angus Harvey, skarżąc się na infekcję penisa, i była też pani Miller. Znowu prosiła o zmianę opatrunku na wrzodzie, a przecież wszystko się już zagoiło. Straszna z niej hipochondryczka.

- A nie spytałeś, czy przypadkiem nie ma jakichś kłopotów?

- Przecież ci mówię, że przyszła zmienić opatrunek.

- A ja ci mówiłam, że wrzód jest tylko pretekstem - zdenerwowała się Abbey. - Najgorsze, że mężczyźni nie mają za grosz intuicji. Jestem przekonana,

że z Ianem jest coś nie tak. Ona nie przejmuje się wrzodem, tylko martwi o syna.

- Chyba pamiętam Iana Millera - odezwał się Ryan. - Jest w moim wieku albo niewiele starszy.

- Zgadza się. Ian mieszka w Sydney.

- I myślisz, że zachorował?

- Nie mam pojęcia - rzuciła szorstko. - Trzeba było zapytać, to byśmy wiedzieli.

- Ian nie jest moim pacjentem.

- Moim też nie, nie widziałam go zresztą od lat. Tylko że jego zdrowie ma bezpośredni wpływ na moją pacjentkę, dlatego się niepokoję. Tak zresztą zrobiłby na moim miejscu każdy dobry lekarz ogólny.

- Jestem tylko chirurgiem ortopeda - zauważył sucho.

- Zadzwoń do niej - oświadczyła Abbey po chwili milczenia.

- Jeśli uważasz, że to coś poważnego, porozmawiam z nią.

- Może mógłbyś się z nią zobaczyć?

- Pojadę, jeśli będę miał czas, ale na pewno do niej zadzwonię - obiecał, nieco już zirytowany. - A teraz zmieńmy temat. Pewnie cię ucieszy wiadomość, że Janet zgodziła się na operację. Zrobimy ją w najbliższy poniedziałek. Do tego czasu wszystko załatwię.

- W poniedziałek? To znaczy, że ty ją będziesz operował?

- Obiecałem przecież. Dlaczego bym miał zmienić zdanie?

- Ale posłuchaj... - Abbey zmarszczyła czoło. - W przyszły poniedziałek będę już pracowała.

- Na pewno nie - uciął krótko. - Plany uległy zmianie. Janet potrzebne będą co najmniej trzy tygodnie rekonwalescencji, zanim będzie się mogła zająć Jackiem. Tak więc zostaniesz przez dwa tygodnie w domu, a ja zorganizuję pomoc medyczną.

- Pomoc? - zdziwiła się.

- Tak, pomoc. Jutro przyjeżdża Steve Pryor. Mam różne kontakty w Brisbane, dzwoniłem tam i zapewniono mnie, że to dobry lekarz.

Nie zwracając uwagi na ból w kolanie, Abbey uniosła się na łóżku.

- Ależ to niemożliwe! Nie stać mnie na to.

- Ale mnie stać.

- Co z tego, kiedy mnie nie stać!

- Ale to ja teraz pracuję, nie ty. Taka była umowa!

- Umawialiśmy się, że będziesz pracował przez tydzień.

- Zgadza się. Obiecałem cię zastąpić przez tydzień. Tylko widzisz, mój ojciec będzie miał pojutrze operację, chcę więc pojechać do Cairns i może zostanę tam jeszcze przez następną dobę.

- Ależ oczywiście, że też o tym nie pomyślałam! Ale pamiętaj, że pojutrze będę już z pewnością na nogach.

- Nic teraz nie mów, tylko słuchaj! Jutro zaczyna się twój miodowy miesiąc.

- Miodowy miesiąc? - zdumiała się Abbey.

- Zamierzaliśmy z Felicity wyjechać w podróż poślubną nad morze.

Wynajęła w tym celu domek, dziesięć minut jazdy samochodem od nas. I tam właśnie cię zawiozę.

- Ależ Ryan, nie mogę zostawić mojego synka ani Janet.

- Domyślałem się tego - uśmiechnął się Ryan. - Wszystko już załatwione. Janet powinna nabrać sił przed operacją, zadzwoniłem więc do właścicieli pensjonatu i zmieniłem domek na większy. Szykujcie się obie. Jedziemy jutro rano. - W tej samej chwili zaniepokoił się, gdyż dostrzegł łzy w oczach Abbey. - Co się stało? Na litość boską, co ci się stało?

- Nic... - wyszeptała. - Tylko widzisz, ja już nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz miałam wakacje. Nie wiem, czy mi się to wszystko należy...

- Z pewnością ci się należy - odparł, całując ją w policzek. - Nie wiem, czy jest ktoś na świecie, kto bardziej sobie na wakacje zasłużył, i jestem bardzo szczęśliwy, że mogę cię na nie wysłać.

Wolał nie myśleć, co powie Felicity, gdy się dowie, że tak łatwo zrezygnował ze spędzenia miodowego miesiąca w wyśnionym przez nią, cudownym miejscu, i że w dodatku wysyła tam kogoś innego.

Felicity jest jednak daleko...

## ***ROZDZIAŁ SZÓSTY***

Następnego dnia rano Ryan pojawił się w towarzystwie dość młodego człowieka o wyglądzie naukowca. Łatwo się było domyślić, że to nowy lekarz. Abbey nie było w jej pokoju, Ryan znalazł ją dopiero na oddziale dziecięcym.

- Dlaczego nie leżysz? - spytał, patrząc na nią groźnie, natychmiast jednak się rozjaśnił, gdy mijał łóżeczko małej dziewczynki. - Jak się miewasz, Leith? Lepiej, prawda?

Leith Kinley spróbowała się uśmiechnąć. Cierpiała na chroniczną astmę i regularnie trafiała do szpitala, a kolejne ataki choroby były coraz cięższe.

Abbey spała, gdy dziewczynkę przywieziono w nocy do szpitala, lecz rano pielęgniarki powiedziały jej, że Ryan z trudem uśmierzył duszności. Całą noc pracował, choć patrząc na niego, nikt by się tego nie domyślił. Jak zwykle był pogodny i pełen energii.

- Przyprowadziłem ci jeszcze jednego doktora - zwrócił się do dziewczynki, lecz uśmiechnął się również do Abbey. Dziewczynka była wystraszona i Ryan zdawał sobie z tego sprawę. - Pozwól, że ci przedstawię doktora Steve'a Pryora. Panie doktorze, to nasza pacjentka Leith Kinley, a to jest doktor Abbey Wittner, która uciekła ze swojego pokoju.

Ku zdziwieniu Abbey, Steve Pryor nachylił się nad łóżkiem Leith i uściskał małej rękę.



Gdzież Ryan znalazł podobny skarb?

Lekarze rzadko widzą w pacjencie człowieka, zwłaszcza gdy chodzi o dziecko. A doktor Pryor przyszedł tu tylko na krótko...

- Jesteś gotowa do drogi? - spytał Ryan.

- Trudno, żebym wyruszyła w podróż w szlafroku - odrzekła z wyniosłą miną.

- Na łóżku w twoim pokoju leży sukienka. Sam ją wybrałem.

- Wybrałeś mi sukienkę?

- Tak, wyjąłem ją dziś rano z twojej szafy, bo Janet zajęta była w oborze.

- I Ryan odwrócił się do dziewczynki, aby wziąć jej rączki w swoje dłonie. -  
Wiem, że w nocy trochę się przestraszyłaś. Wszyscy się zresztą baliśmy. No i rano zacząłem myśleć, co by tu zrobić, żeby ci było lepiej... Rozmawiałem także z twoją mamusią i tatusiem...

Rano... Abbey spojrzała na zegarek. Przez całą noc Ryan ratował Leith, potem był na farmie po sukienkę, a teraz okazuje się, że rozmawiał jeszcze z rodzicami dziewczynki. Znalazł też czas na powitanie nowego lekarza i wszystko to załatwił do dziewiątej. A przecież koło siódmej brał jeszcze udział w obchodzie.

- Mamusia i tatuś zgadzają się ze mną, że same lekarstwa nie wystarczą -  
mówił dalej Ryan. - Musimy poprawić wydajność twoich płuc. Powinny być większe, żeby zmieścić więcej powietrza.

Leith zmarszczyła brwi.

- Ale jak to zrobić? - spytała cicho.

- Będziesz musiała nauczyć się pływać. Jeśli zechcesz, to pierwszą lekcję możesz mieć dzisiaj. Zabieram doktor Wittner na plażę. Może się z nami wybierzesz? Pokażę ci, jak masz pływać, żeby płuca zaczęły się powiększać, a potem odwiozę cię tutaj.

- A nie mogę wrócić do domu?

- Zjesz w szpitalu obiad i prześpisz się trochę. A potem, jeśli nie będziesz miała kłopotów z oddychaniem, mamusia i tatuś zabiorą cię na noc do domu. Rodzice będą cię wozili na pływanie codziennie przez miesiąc. A po miesiącu okaże się, czy ci to pomogło.

Abbey nie wierzyła własnym uszom. Wiadomo było, że astmatykom zaleca się zwiększenie wydajności płuc. Ileż to razy rozmawiała na ten temat z państwem Kinley! Leith nie chciała jednak pływać, a jej rodzice utrzymywali, że zupełnie nie mają na to czasu.

Co się więc stało?

Ryan powiedział przecież wyraźnie, że państwo Kinley wyrazili zgodę! Musiał więc ich po prostu sterroryzować - tak jak terroryzuje wszystkich dokoła. Już on to świetnie potrafi! - pomyślała Abbey i ze zdumieniem patrzyła na uśmiechniętą buzię Leith.

- Naprawdę będę mogła pojechać z panem doktorem na plażę? - spytała radośnie dziewczynka.

- Oczywiście! Ze mną, z doktor Wittner i z Jackiem, synkiem doktor Wittner, i z jego babcią. A co ty tu jeszcze robisz? - Ryan odwrócił się gwałtownie do Abbey, wskazując palcem zegarek. - Masz być gotowa za pięć minut.

Czegoś równie pięknego Abbey w życiu nie widziała.

Przy końcu drogi wiodącej wzdłuż plaży, pośród kokosowych palm, można było dostrzec tabliczkę z napisem: „Kraina Szczęścia”. Abbey słyszała o tym miejscu, nigdy tam jednak nie była, podobnie zresztą jak większość okolicznych mieszkańców.

Mało kogo byłoby bowiem na to stać.

Przestronną i obszerną recepcję o ścianach z bladoszarego marmuru wypełniało morskie powietrze. Usłane miękkimi poduszkami rattanowe fotele i sofy zapraszały do odpoczynku. Na schodach, z których rozpościerał się cudowny widok na morze, wchodzących gości witali portierzy.

Abbey nie zgodziła się jechać na wózku. Wzięła kule i bez niczyjej pomocy wchodziła po schodach, patrząc z zachwytem na morskie fale. Ryan, powitany wylewnie przez recepcjonistkę, poszedł w międzyczasie załatwiać formalności.

- Moja siostra umrze chyba z zazdrości, jak jej wszystko opowiem - odezwała się niespodziewanie Leith. - Tylko czy doktor Henry ma dosyć pieniędzy, żeby za to wszystko zapłacić?

- Pewnie tak - odparła Abbey bez przekonania. - Zastanawiam się, gdzie może być Janet?

- Czekają już na nas - usłyszała zniemacka głos Ryana. - Co ci jest? - spytał, patrząc na nią. - Jesteś zmęczona? Chcesz, żeby cię zanieść?

- Ależ nie! Tylko pomyśl... Przecież pobyt tutaj musi kosztować majątek. Ja w żadnym wypadku nie będę mogła ci się odwdzięczyć za to wszystko...

- Może już to zrobiłaś - odezwał się cicho, biorąc ją pod brodę i zmuszając, aby spojrzała mu w oczy. - Posłuchaj - dodał - oboje jesteśmy lekarzami. Zdecydowałaś się tu pracować i zarabiasz grosze, ale dzięki tobie inni mogą się poświęcić pracy gdzie indziej, zarabiając wręcz nieprzyzwoicie dużo. Uważam, że to niesprawiedliwe, ale tak to już jest. Jestem ci niewypowiedzianie wdzięczny za to, że od czterech lat zajmujesz się moim ojcem. Pracujesz znacznie ciężiej ode mnie, za marne wynagrodzenie. Pozwól mi więc choć w części wynagrodzić ci tę niesprawiedliwość.

I nie czekając na odpowiedź, wziął ją na ręce i ruszył ścieżką w kierunku morza.

Woda była tu spokojna jak w stawie, Szafirową Zatokę bowiem odgradzały od oceanu skałki. Toń połyskiwała błękitem, a gładka powierzchnia wody rozciągała się aż po horyzont.

Janet z Jackiem już na nich czekali. Przywiózł ich tu na prośbę Ryana farmer, który doił dziś krowy. Janet miała na sobie czarny, wyblakły kostium kąpielowy i bez chwili wahania pierwsza weszła do wody. Nie minęło parę

minut, a zaczęła pokrzykiwać z radości. Abbey pierwszy raz widziała ją w podobnym nastroju.

- Ryan kazał mi się cieszyć - zawołała - bo inaczej zabierze cię do domu. A powrót do domu z pewnością źle ci zrobi.

Janet wzięła sobie najwyraźniej do serca zalecenia Ryana, bo zapomniała o swoim biodrze, laskę zostawiła na brzegu i nikt by nie przypuścił, że w wodzie pluszcze się schorowana starsza pani.

Ryan zaniósł Abbey do jej pokoju, zaczekał, aż włoży kostium kąpielowy, i po chwili byli znowu nad wodą. Posadził ją na głazie zanurzonym do połowy w wodzie, a w sąsiedztwie znalazł drugi kamień, na którym troskliwie ułożył chorą nogę. Potem przykrył bandaż workiem plastikowym, oklejając go starannie taśmą.

- No, teraz możesz się chlapać - powiedział i ruszył w stronę Leith, która stała na brzegu, rozglądając się ciekawie dokoła.

Zaczęła się pierwsza lekcja pływania.

Po chwili Leith przytknęła buzię do powierzchni wody, na której pojawiły się bąbelki. Abbey wiedziała, ile musiało ją to kosztować, bo dziewczynka zawsze panicznie bała się wody.

Janet, gdy tylko Ryan ją o to poprosił, zaczęła cieszyć się życiem. Leith, gdy chwilę z nią porozmawiał, przestała się bać wody. Obydwie bez słowa protestu wykonywały jego polecenia. Musiały mu bezgranicznie ufać.

Gdyby ktoś powiedział Abbey tydzień temu, że rano we wtorek będzie leżała na plaży, wyśmiałaby go. Teraz siedziała na kamieniu i patrzyła na nich wszystkich. Przyglądała się swemu synkowi i teściowej.

I Ryanowi. Swojemu Ryanowi.

Na litość boską! Skąd te myśli? Dlaczego nazywam go w ten sposób? Mój Ryan... Przecież on nie należy do mnie.

Kiedyś, dawno temu, tak o nim mawiała. „To mój przyjaciel” - opowiadała matce. A gdy szedł czasami ze starszymi chłopcami pograć w krykieta lub w piłkę, z trudem hamowała zazdrość.

Teraz to nie był już jej Ryan. Ryan jest zaręczony z dziewczyną noszącą imię Felicity, która ma się tu niedługo pojawić, by zabrać sobie swojego narzeczonego.

Z pewnością nie pokażę, że jestem zazdrosna, postanowiła Abbey. A dlaczego miałabym być zazdrosna? Przecież właściwie nie znam Ryana. Nie było go tu blisko dwadzieścia lat. Jest w tej chwili bogaty, robi karierę i jest już właściwie Amerykaninem.

Spojrzała w jego kierunku. Stał w promieniach słońca, ociekający wodą, opalony na brąz, a widząc jej spojrzenie, uśmiechnął się do niej, mrużąc oczy w ten sam sposób, w jaki zrobił to dawno temu, gdy po raz pierwszy się spotkali...

W drodze do szkoły zaczepiły ją kiedyś starsze dziewczynki, zaczęły się z nią drażnić i śniadanie Abbey znalazło się na ziemi. Zapłakana klęczała na drodze, próbując oczyścić kanapki z piasku. I właśnie wtedy pojawił się niespodziewanie Ryan.

- Posłuchaj, dzieciaku - powiedział. - Mam sześć ogromnych kanapek i dwie tabliczki czekolady, a w czasie przerwy śniadaniowej będę grał w piłkę. Nie dam rady tego wszystkiego zjeść, a nawet gdybym dał radę, to chyba bym pękł. Chodź, nakarmimy mewy twoim śniadaniem, a moimi kanapkami podzielimy się na pół.

Spojrzała przez łzy na dużo większego od niej chłopaka, w którego oczach błyskały iskierki śmiechu, i od tej pory jej serce należało do niego. A teraz znowu spojrzał na nią w ten sam sposób!

Właśnie biegł w jej kierunku, a Leith po skończonej lekcji razem z Janet i Jackiem naśladowali wieloryby.

- O czym tak rozmyślasz?

Siadł przy niej tak blisko, że musnął ją ramieniem. Wstrząsnął nią dreszcz.

- Zimno ci? - spytał.

- Ależ nie, nie jest mi zimno... Jak poszła lekcja?

- Wspaniale - odparł z uśmiechem i objął ją. To taki gest przyjaźni, tłumaczyła sobie.

- Nie chciałem jej dzisiaj forsować, ale myślę, że niedługo będzie pływać jak ryba.

- Chciałam... - Abbey na próżno usiłowała opanować drżenie rąk. - No więc chciałam ci bardzo podziękować...

- Nie masz za co - odparł szorstko, obejmując ją jeszcze mocniej. Jak swoją własność.

- Ale...

- Powiedziałem ci już przecież - przerwał, kładąc palec na jej wargach, i w tej samej chwili zaniemówił.

Zupełnie jakby poraziła go świadomość, jak bardzo są sobie bliscy. I ile ich z sobą wiąże.

Obydwoje w tej chwili poczuli się tak, jakby połączyła ich jakaś tajemna nić.

Ryan... Niespodziewanie zaczął się liczyć tylko Ryan. Ciałem Abbey zawładnęła bez reszty radość. Ryan obejmuje ją przecież, dotyka...

Uniosła wyżej głowę, aby nacieszyć się słońcem. Wtedy właśnie ich wargi spotkały się, połączyły z sobą, tak jakby zawsze do siebie należały. Czują go przy sobie, gdy ją tulił. Jej piersi dotykały jego piersi, usta ust, skóra skóry.

Ich serca były jednym rytmem. Abbey zdawało się przez chwilę, że jej serce ulatuje gdzieś tylko po to, aby połączyć się z sercem Ryana. Ona sama zaś pragnęła znaleźć się jeszcze bliżej niego, bliżej człowieka, który wzbudził w niej nie znane dotychczas uczucia...

Odniosła wrażenie, że jest połową całości, której drugą część stanowi Ryan.

Niespodziewanie do jej serca wkradł się niepokój. Przecież to szaleństwo i niewybaczalny błąd, szeptał jakiś głos. To nieporozumienie, w dodatku brzemiennie w skutki.

Ten pocałunek przypomniawszy jej, że mając osiem lat, oddała mu serce na wieki. Kochała go od tej pory bez zastrzeżeń, a jej miłość nie znała granic. Oczywiście, że kochała kiedyś Johna, ale było to coś zupełnie innego. John był ukochanym przyjacielem i stanowił wraz z Janet jej rodzinę. Przebywając z Johnem, nie czuła jednak nigdy wspólnego bicia serc ani nie miała poczucia, że stanowią nierozdzielalną całość.

Nawet jednak taki pocałunek nie mógł trwać wiecznie. Głośniejszy krzyk dzieci sprawił, że Ryan drgnął i znieruchomiał na chwilę - jakby coś nim wstrząsnęło.

- Abbey...

Był wyraźnie zmieszany. W jego głosie kryło się zakłopotanie, a ona tak bardzo chciała położyć ręce na jego ramionach i przytulić go do siebie. Nie zrobiła tego jednak, gdyż wiedziała, że nie wolno jej tego zrobić. Ryan nie należy do niej, nie należy nawet do świata, w którym ona żyje, a kobieta, która ma zostać jego żoną, siedzi pewnie teraz w samolocie i z każdą minutą jest coraz bliżej.

Abbey próbowała się więc roześmiać...

- Zapomnijmy o tym - szepnęła. - Wiem, że to był tylko gest przyjaźni, ale twojej Felicity z pewnością by się to nie spodobało.

Twojej Felicity...

Zmieszanie Ryana zniknęło bez śladu. Felicity. Z nią przecież, a nie z tą dziewczyną, która jest prowincjonalnym lekarzem, związana jest jego przyszłość.

Miłością jego życia jest Felicity, a nie Abbey.

Felicity jest jego przyszłością.

Przymknął oczy i długo ich nie otwierał, a kiedy już spojrział na Abbey, jego twarz wyrażała zdecydowanie.

- Masz rację, Felicity nigdy by nie zrozumiała, że jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Tylko przyjaciółmi...

Przesunął palcem po bladym policzku Abbey i wstał. Spoglądał na nią z góry obojętnym wzrokiem.

- Odwiozę lepiej Leith do szpitala - odezwał się. - Muszę sprawdzić, jak Steve sobie radzi, a wieczorem chciałbym wpaść do Cairns zobaczyć się z ojcem.

Nie odchodził jednak, patrząc na morze, jakby miał ochotę tu zostać. Któż by zresztą nie chciał posiedzieć dłużej w podobnie cudownym miejscu?

Któż by chciał odchodzić od Abbey?

- Jeżeli tylko będę mógł, wrócę w czwartek - obiecał. - Dbaj o siebie przez ten czas.

Potem odszedł, nie oglądając się za siebie.

Przed odjazdem do Cairns udało mu się dodzwonić do Felicity. Kończyła właśnie jedno posiedzenie i zaraz zaczynała drugie.

- Może zadzwonić później? - spytał.

- To nic nie da, nigdy nie mam tutaj chwili czasu. Nie masz pojęcia, jaka jestem zajęta. Czy coś się stało?

Zrelacjonował jej pokrótce ostatnie wydarzenia i wyczuł od razu, że Felicity jest bardzo niezadowolona.

- Nie chciałbym cię tu więzić dłużej. Może każde z nas wróci osobno do Stanów, a ślub przełożymy na przyszłe wakacje? - zaproponował.

Okazała jeszcze większe niezadowolenie.



- To niedobry pomysł. Przyjadę do ciebie w czwartek - oznajmiła zdecydowanym tonem. - Coś trzeba wreszcie z tym ślubem zrobić, za długo to już nad nami wisi.

Zakończyła rozmowę i pospieszyła na następną konferencję.

Przecież właśnie tego chciałem! - pomyślał Ryan. Żeby Felicity przyjechała i żeby odbył się ślub...

Wszystko już dawno sobie zaplanował z matką; cała jego przyszłość obmyślona przecież była w najdrobniejszych szczegółach.

Co się więc stało?

Skąd ten smutek?

## ***ROZDZIAŁ SIÓDMY***

Abbey nie mogła się już doczekać końca pobytu nad morzem, choć było przecież cudownie. Janet, Abbey i Jack znaleźli się niespodziewanie w luksusowych warunkach i były to z pewnością wakacje ich życia.

Jack nie posiadał się ze szczęścia, mając cały dzień przy sobie mamę i babcię. Nie można go było wyciągnąć z wody, tak bardzo zasmakował w kąpielach. Przez cały dzień rozbrzmiewał jego radosny śmiech.

Na twarzy Janet na próżno można było szukać śladów cierpienia wywołanego bólami stawów. Dzięki Bogu, łatwiej teraz będzie przeprowadzić operację, myślała Abbey.

Abbey czuła się właściwie wypoczęta, choć miała trudności ze spaniem. Nocami długo przewracała się z boku na bok w ogromnym łóżu, mając ciągle przed oczami kpiące spojrzenie Ryana.

Dosyć miałam już czasu, by się nauczyć, że jestem wdową, złościła się na siebie...

Ryan nie przyjechał więcej. Zadzwoił tylko parę razy, pytając, czy wszystko w porządku.

Gdy Abbey zatelefonowała do szpitala w Cairns, by dowiedzieć się o zdrowie Sama, usłyszała, że „stan pacjenta jest z każdym dniem coraz lepszy”. Gdy zadzwoniła do szpitala w Szafirowej Zatoce, Eileen zawiadomiła ją, że współpraca Ryana ze Steve'em układa się znakomicie. Na zakończenie Eileen rzekła:

- A teraz, Abbey, zajmij się sobą. Ciesz się plażą i słońcem.

Łatwo jej mówić!

Janet z niepokojem przyglądała się swojej synowej, zwłaszcza że domyślała się, skąd pod jej oczami biorą się szare cienie.

Widziała bowiem Ryana z Abbey na kamieniu...

- Wszystko zabrałaś? - dopytywała się Abbey, stawiając torbę Janet w bagażniku. - W najgorszym razie przywiozę ci, jeśli coś zapomniałaś. Będę przecież do ciebie wpadać.

- Mam wszystko, brakuje mi tylko wiadomości, że szpital spłonął i operacja się nie odbędzie. Żałuję teraz, że dałam się wam namówić...

- Zobaczysz, że będziesz mogła normalnie chodzić.

- Tak, a za rok będziesz chciała, żebym wstawiała drugie biodro.

- Pewnie, że tak. A teraz wsiadaj - poprosiła Abbey. - Jeden z najslawniejszych amerykańskich chirurgów będzie cię zaraz operować. Nie każ mu na siebie długo czekać.

- No właśnie. Nie każ mu na siebie długo czekać.

- Nie rozumiem... Co masz na myśli?

- Dzięki Bogu, nie jestem ślepa i widzę, co się święci. Powiem ci tylko tyle: jesteś już wdową od blisko dwóch lat i źle by było, gdyby pamięć o moim synu zniszczyła to, co cię łączy z tym młodym człowiekiem.

- Posłuchaj mnie, Janet. - Abbey nerwowo oblizała wargi. - Posłuchaj mnie tylko... Ryan jest zaręczony. Nie widziałyśmy go od tygodnia i całkiem możliwe, że przez ten czas się ożenił.

- Jeśli się ożenił, to całkiem inna sprawa.

Rozmowa się urwała, samochód zatrzymał się przed szpitalem, a Abbey pochłonięta była tylko jedną myślą. Zaraz spotkam Ryana. Niewykluczone, że Ryan się ożenił. Ryan tymczasem czekał na nią - taki sam jak zawsze. Z takim samym uśmiechem, z takim samym błyskiem w oczach i z takim samym urzekającym sposobem bycia...

- Dziękuję, że nam pani zaufała. - Uściskał Janet, a potem zwrócił się do Abbey: - Jeszcze za wcześnie na prowadzenie samochodu!

- Moja stopa jest zupełnie sprawna. Zresztą do hamowania potrzebna jest tylko prawa noga, a tej nic nigdy nie dolegało! - Wyrzuciła z siebie tak szybko, że Ryan się roześmiał.

- Widzę, że miałaś już przygotowaną odpowiedź.

- Jasne. Wiedziałam, że nie puścisz mi tego płazem. Znała go przecież tak dobrze. Wszystkie te lata, gdy go tu nie było, zdawały się nie mieć większego znaczenia.

- Jak się miewa ojciec? - spytała. Zarumieniła się przy tym, gdyż dostrzegła na sobie jego spojrzenie.

- Świetnie - odrzekł, biorąc Janet pod rękę i wyjmując jej torbę z samochodu. - Dziękuję ci za kwiaty i czekoladki. A dla pani mam specjalną wiadomość - zwrócił się do Janet, lekko się przy tym uśmiechając. - Mam pani przekazać, że skoro on odmienił sobie serce, to teraz czas na panią. Nie mam tylko pojęcia, czy mówił o operacji?

Ku wielkiemu zdumieniu Abbey, Janet zrobiła się purpurowa.

- Co ty, chłopaku, wygadujesz? - oburzyła się, lecz oczy jej się śmiały. - Co to za niemądre chłopisko! - westchnęła. - Kiedy on wraca do domu?

- Jeśli wszystko dobrze pójdzie, przywiozę go w przyszłym tygodniu.

Abbey wyjęła z samochodu kule i cała trójka weszła do szpitala.

- A co z Felicity? - spytała Abbey.

- Wszystko w porządku - padła krótka odpowiedź.

- Jesteście już po ślubie?

- Ależ nie. Obiecuję, że przyślę zaproszenie. Czy na pewno nic pani nie jadła i nie piła? - zwrócił się do Janet.

- Na pewno - mruknęła Janet. - Abbey nie pozwoliła mi nawet wypić filiżanki herbaty na śniadanie. A co się dzieje z tą Felicity, skoro jeszcze się nie pobraliście?

- Przysięgam, że jej nie udusiłem i że ma się dobrze! Wkrótce ją zobaczycie - obiecał. - Ale teraz najważniejszą sprawą jest operacja. Steve będzie podawał środki znieczulające - zwrócił się do Abbey. - Ma dużą wprawę, choć nie ukończył jeszcze specjalizacji. Może jednak dobrze by było, żebyś mu pomogła? Nie wiem tylko, czy dasz już radę?

Uśmiechnęła się, kiwając z radością głową. Z niechęcią myślała przed chwilą o tym, że mogłaby siedzieć beczynnym przed salą operacyjną i po prostu czekać na zakończenie operacji.

- Chcesz, żebym wam towarzyszyła? O, jak się cieszę! Oczywiście, że dam radę.

- Patrz im tylko na ręce - mruknęła Janet. - Tyle się nasłuchiłam o chirurgach, którzy zostawiają pacjentom w brzuchu różne drobiazgi...

- Już ja ich przypilnuję - obiecała Abbey. Ryan patrzył na nią z uśmiechem.

Po wejściu do sali operacyjnej Abbey zaniemówiła. Szpitala w Szafirowej Zatoce nie było do tej pory stać na podobne wyposażenie.

- Wszystko wypożyczyłem - oznajmił krótko Ryan. - Częściowo z Cairns, a częściowo z Brisbane.

- Nic nie rozumiem - dziwiła się Abbey, gdy szła ze Steve'em przygotować się do operacji. - Przecież Ryan nie ma w Australii żadnych znajomości, jak więc on to zrobił?

- Gdyby nie miał kontaktów, to i mnie by tu nie było - odparł Steve. - Nie zapominaj, że Ryan jest znanym ekspertem w dziedzinie ortopedycznego leczenia kości kruchych. Co więcej, w przeciwieństwie do innych chętnie dzieli

się swoją wiedzą i udostępnia wyniki badań. Jego odkrycia stanowią jedno ze źródeł mojej pracy doktorskiej. Mieszkam w Cairns, ale w zeszłym roku pracowałem z Ryanem w Nowym Jorku. Pomógł mi tak bardzo, że nie mogłem mu odmówić. Dlatego tu jestem. A takich jak ja jest bardzo wielu. Nikt mu nie jest w stanie niczego odmówić. Wystarczy, że Ryan poprosi...

Wystarczy, że Ryan poprosi...

Abbey szorowała ręce i zawiązywała fartuch, myśląc o tym, co mówił Steve. Tak to właśnie jest. Wystarczy, że Ryan uśmiechnie się, a potem już nawet nie musi o nic prosić.

Abbey nie widziała jeszcze równie mistrzowsko przeprowadzonej operacji. W czasie podobnych zabiegów cała sala operacyjna wypełniona była personelem medycznym. Teraz było ich tylko czworo: ona, Ryan, Steve i Eileen.

Z zachwytem patrzyła na zręczność i precyzję Ryana. Wykonał właśnie szybkie cięcie, niewielkie w porównaniu z tym, co widywała przy podobnych zabiegach, a potem dotarł do stawu biodrowego z taką łatwością, że Steve i Abbey nie mogli wprost wyjść z podziwu. Bez trudu usunął też starą panewkę i zastąpił ją endoprotezą, a następnie odpiłował zręcznie zwyrodniałą górną część kości udowej i wstawił na jej miejsce głowę endoprotezy. Nowy staw został zespolony.

Abbey i Steve wiedzieli jednak, że operacja ta nie była ani prosta, ani łatwa. Wyglądała na taką jedynie dzięki niepospolitej zręczności i wprawie Ryana, o której oni sami mogli tylko marzyć.

Janet otrzymała nowy staw biodrowy, a monitory Steve'a wskazywały, że zniosła cały zabieg w nadzwyczajnej formie. Nowy staw biodrowy oznaczał dla niej możliwość rozpoczęcia nowego życia. Od lat przecież cierpiała na nieustanne bóle.

Gdyby nie Ryan, nigdy by nie doszło do operacji...

Abbey dziękowała Bogu za cud, którego była świadkiem. Spojrzała na swe opuchnięte kolano i pomyślała sobie, że jednak było warto. Jeżeli ceną za pobyt Ryana ma być tylko zwichnięte kolano, to warto zapłacić.

Ile trzeba by zapłacić, żeby został jeszcze dłużej?

Steve wywiózł Janet do sali pooperacyjnej, Eileen wyszła, zabierając z sobą brudne prześcieradła i Abbey została sama z Ryanem.

- Zmęczona? - spytał ciepłym głosem, a ona w tej samej chwili zdecydowała, że powinna czuć się doskonale.

- Nie.

- Kłamczucha.

- Dlaczegoż bym miała być zmęczona? Operacja trwała niespełna godzinę. Nie mam zresztą pojęcia, jak ci się udało tego dokonać w tak krótkim czasie! Jestem przecież wypoczęta i chcę już normalnie chodzić. Zmarnowałam ci przy tym miodowy miesiąc.

- Należy ci się wypoczynek i teraz żałuję, że prosiłem cię o pomoc.

- Ale ja naprawdę chciałam być przy tej operacji - powiedziała, podnosząc na niego wzrok. - Posłuchaj mnie - dodała, napotykając jego ciemne, zatroskane oczy. - Chciałam ci bardzo podziękować. Żebyś wiedział, jak marzyłam, żeby Janet zgodziła się na tę operację. Jeżeli tylko rekonwalescencja będzie przebiegać pomyślnie, czuję, że potrafię ją namówić na operację drugiego stawu.

- Przylecę i zrobię jej także drugą operację - zapewnił Ryan bez namysłu.

Może rzeczywiście przyleci tu jeszcze. Może za rok... Tak, z pewnością, ty głupia wariatko, zaczęła z siebie kpić. Jeśli nawet przyleci, przywiezie z sobą żonę.

- A gdzie jest Felicity? - spytała głuchym głosem.

- Jest na farmie mojego ojca i pracuje. Zapraszałem ją na lunch, ale nie przyjdzie, bo nie ma czasu.

- Aha. - Coś ta Felicity niewiele sobie robi ze swego przyszłego męża, pomyślała Abbey. Cóż to za dziwny miodowy miesiąc. - Jeszcze nie

wyznaczyliście daty ślubu? - spytała i tym razem jej głos nie zabrzmiał spokojnie.

- Nie. Zrobimy to, kiedy ojciec wróci ze szpitala.

Powiedział to tak, jakby mówił o zmianie koszuli...

Abbey wydało się to wszystko bez sensu. Podeszła do umywalki i zdjęła rękawice. Wtedy właśnie Ryan stanął za nią i zaczął jej rozpinąć fartuch. Poczula się naprawdę dziwnie.

- Będiesz... mógł teraz pozwolić Steve'owi na powrót do pracy naukowej - wybąkała. Wiele trudu kosztowało ją zapanowanie nad sobą. - Z moją nogą już właściwie wszystko w porządku, a dziewczyna, która opiekuje się Jackiem, zgodziła się zostać u nas dłużej.

- Na razie to jeszcze niemożliwe.

- Ale ja muszę wrócić do pracy.

- Będiesz to mogła zrobić najwcześniej w poniedziałek - powiedział kategorycznym tonem. - A do tej pory masz wolne.

- Wykluczone!

- Nie dyskutuj!

- Posłuchaj, Ryan...

- Nie utrudniaj mi życia - poprosił zmęczonym głosem, ujmując ją mocno w tali. - Za trzy tygodnie będę musiał stąd wyjechać. Chciałbym mieć przy tym czyste sumienie. Przyjmij ode mnie prezent w postaci przyzwoitych wakacji. Może wtedy...

Przerwał i cofnął się, bo właśnie weszła Eileen.

- Nie przeszkadzam? - spytała, przyglądając im się badawczo. - Może potem posprzątam?

Abbey westchnęła, zdjęła fartuch i wrzuciła go do kosza, nieco za energicznie.

- Ależ nie! Absolutnie nie! - zaprotestowała. Myślała teraz jedynie o Ryanie, który jeszcze przed chwilą ją obejmował.

- Rozmawialiśmy właśnie o przygotowaniach do ślubu doktora Henry'ego. A teraz pójdę do Janet. Chcę być przy niej, gdy się obudzi. A co do pracy - zwróciła się do Ryana - to zgoda, zacznę dopiero od poniedziałku.

Urwała, bo Eileen nie odrywała od niej wzroku, widząc, że Abbey zarumieniła się gwałtownie. Wychodząc, podjęła rozpaczliwą decyzję.

- Jeżeli nie jesteście zajęci, chciałabym, żebyś przyszedł do mnie wieczorem w czwartek, razem z Felicity. Bardzo nam będzie z Jackiem miło...

Była nawet z siebie zadowolona. Muszę się nauczyć, że Ryan ma narzeczoną, myślała. Trzeba zacząć od poznania tajemniczej Felicity. Im szybciej, tym lepiej.

- Zapraszasz nas? - zapytał, a ona skinęła głową.

- Tak. Czekamy w czwartek o siódmej. - Abbey była nieco zdenerwowana. - Może i ty przyjdiesz? - zwróciła się do Eileen.

- Mam niestety dyżur - odrzekła Eileen z żalem. - Gdyby nie to, przyszedłbym na pewno.

Chętnie bym zobaczyła, jak to naprawdę wygląda, pomyślała.

- Nie wiesz przypadkiem, po co ja to wszystko robię? - pytała Abbey syna, który był zajęty wyjadaniem z miseczki resztek musu czekoladowego. To teraz interesowało go najbardziej. Potem rzucił łyżeczkę i zaczął wylizywać miskę, wsadzając do niej przy tym głowę. Abbey roześmiała się na ten widok. - No cóż, nawet gdybym poszła w twoje ślady, goście i tak przyjdą - westchnęła.

Wiedziała jednak, że kolacja będzie z pewnością udana, gdyż na gotowaniu naprawdę się znała.

Gdyby tylko... ten dom nie wyglądał tak ubogo.

Nigdy dotychczas nie zwracała na to uwagi, ale dzisiaj... Tak bardzo nie chciała, by Ryan lub Felicity litowali się nad nią.

- Nie powinni tego robić, bo nie ma powodu - mruknęła do siebie pod nosem. Wzięła na ręce umazanego czekoladą chłopczyka i przytuliła go mocno.

- Mam przecież ciebie i mam Janet...



Felicity i Ryan zadzwonili do drzwi punktualnie o siódmej.

Abbey udało się doprowadzić dom do porządku. Kuchenny stół nakryty był białym, niemal nowym obrusem. Pośrodku stały purpurowe kwiaty, a Abbey miała nadzieję, że goście oczarowani ich pięknem nie zauważą, że wstawione zostały nie do kryształu, lecz do zwykłego szklanego wazonu.

Idąc do drzwi, Abbey obejrzała się po raz ostatni w lustrze i była z siebie zupełnie zadowolona. Miała na sobie ładną, białą, długą aż do kostek sukienkę bez rękawów, w której było jej całkiem do twarzy, a jej kręcone włosy lśniły od długiego szczotkowania. Po raz pierwszy też od śmierci Johna zrobiła sobie delikatny makijaż.

Dobre samopoczucie Abbey trwało jednak krótko. Wystarczyło tylko, że otworzyła drzwi, a jej dobry nastrój od razu się rozwiął.

Felicity była niewypowiedzianie piękna.

Tego zresztą należało się spodziewać. Jasne było, że Ryan nie poślubiłby kogo. Wzrostem niemal dorównywała Ryanowi, była przy tym szczupłą, wiotką i miała niesamowicie długie nogi. Sukienką, którą miała na sobie, kosztowała zapewne majątek i musiała pochodzić z kolekcji któregoś z największych nowojorskich domów mody. Elegancka i skromna, w kolorze lekko połyskującej czerni, opinała sylwetkę Felicity, sięgała niemal szyi, a odsłaniała za to nogi. Długie i lśniące jasne włosy opadały luźno na ramiona.

Niebieskie oczy Felicity patrzyły na Abbey z chłodnym zainteresowaniem, a na starannie umalowanych ustach pojawił się wystudiowany uśmiech.

Abbey miała ogromną ochotę zatrzaskać jej drzwi przed nosem.

Obok Felicity stał jednak Ryan. Był niesamowicie przystojny i spojrzał na Abbey tak, że poczuła, iż topnieje w niej serce.

- Brum-brum! - rozległo się naraz za jej plecami.

To Jack, nałożywszy sobie na głowę miseczkę po musie czekoladowym, pędził przed siebie, imitując samochód. Gdy tylko zobaczył gości, zawrócił i

pognał z powrotem w kierunku kuchni. Nie dotarł tam jednak, wpadł bowiem na ścianę, przewrócił się i zaczął płakać.

A potem było jeszcze gorzej...

Tylko zapiekanka z kurczaka udała się znakomicie.

Gdy Jack już poszedł spać, Abbey próbowała brać udział w rozmowie, ale czuła się coraz bardziej nieswojo. Felicity jadła, nie zwracając zupełnie uwagi na to, co miała na talerzu, i ani razu nie pochwaliła przygotowanych potraw. Prowadziła przy tym beztroską rozmowę, przybierając ton i sposób bycia dobrze już Abbey znany.

Matka Ryana doprowadziła go kiedyś do perfekcji, wyobrażając sobie, że osoby z wyższych sfer tak właśnie powinny rozmawiać ze stojącymi niżej od siebie, aby im zrobić przyjemność.

- Cóż za uroczy dom - chwaliła Felicity. - Taki oryginalny. Niemal dzieło sztuki. Gdyby tak udało się przetransportować go do Nowego Jorku, można by zrobić na nim majątek.

Abbey starała się uśmiechnąć, a potem uznała, że najbezpieczniej będzie zacząć rozmowę na tematy medyczne.

- Słyszałam, że jest pani onkologiem. Czy mogłaby pani coś mi poradzić w sprawie kuracji jednego z moich pacjentów?

Los lekarza rodzinnego praktykującego na głuchej prowincji bywał często nie do pozazdroszczenia. Zdarzało się, że Abbey nie była pewna, czy kuracja, którą wybrała, jest rzeczywiście najlepsza, a nie miała przecież czasu ani możliwości, by wyjeżdżać na szkolenia i konferencje. Konsultowała się często ze specjalistami, ale pacjenci odmawiali niekiedy wyjazdu do Cairns.

A teraz ma na miejscu specjalistkę w dziedzinie onkologii... i może dowiedzieć się czegoś o najnowszych metodach leczenia.

Felicity jednak uniosła obydwie ręce do góry i na jej twarzy pojawił się wyraz przerażenia.

- Prowadzę jedynie badania naukowe - oznajmiła. - Nie mam żadnego kontaktu z chorymi. Obydwoje z Ryanem nie chcemy zresztą mieć do czynienia z pacjentami, którzy przeważnie są spoceni i brudni.

- Och... No tak, oczywiście. - Abbey zamierzała pozbierać talerze ze stołu, a chcąc się uspokoić, zaczęła liczyć do dziesięciu. Po chwili spróbowała znowu. - Chciałam tylko zadać pani parę pytań. Nie mam tutaj dobrego dostępu do informacji, dlatego chciałam prosić o godzinę rozmowy. Mam różne wątpliwości.

- Od tego właśnie są pisma medyczne - przerwała jej Felicity. - A poza tym myślę, że już dosyć mi pani zabrała czasu z mojego miodowego miesiąca. Prawda, kochana?

Właśnie to słowo - kochana - poderwało Abbey na równe nogi.

Zauważyła, że Ryan zmarszczył brwi i patrzy groźnie przed siebie, nie mogła się tylko zorientować, czy patrzy na nią właśnie, czy też może na Felicity. Nie miało to zresztą większego znaczenia, bo to on jest wszystkiemu winien. To on przecież zaręczył się z tą dziewczyną i on ją tutaj sprowadził. Abbey spojrzała więc groźnie na niego, a potem na oboje.

- Jest jeszcze mus czekoladowy - oznajmiła oficjalnym tonem i postawiła salaterkę na stole tak głośno, że gdyby była kelnerką w Ritzu, z pewnością nie zagrzałyby tam długo miejsca.

I tego zresztą chciała. Nie miała bowiem najmniejszej ochoty oglądać dłużej swoich gości. Nawet Ryana.

Gdy wkładała do ust pierwszą łyżeczkę deseru, zadzwonił telefon. Podbiegła z radością, aby podnieść słuchawkę, ale tym razem nie było się z czego cieszyć, bo usłyszała głos Marg Miller.

- Abbey...

Natychmiast zapomniała o wszystkim. Liczyła się teraz tylko pani Miller, gdyż w głosie jej słychać było nieme przerażenie.

- Co się stało? Proszę się uspokoić... O mój Boże, niech pani tylko nie płacze, proszę trzy razy głęboko odetchnąć. A teraz niech pani mówi, co się dzieje.

- Chodzi o Iana. Przyjechał wczoraj wieczorem z Sydney, wyglądał strasznie...

- Co mu jest? Czy był chory?

- Tak, ale... To znaczy on nie jest chory, tylko...

- Tylko co? - krzyknęła Abbey.

- Ja po prostu nie wiem - wyszeptała Marg Miller.

- Czy jest teraz w domu? - Abbey oczami wezwała na pomoc Ryana, widząc, że podnosi się z krzesła.

- Ależ nie, właśnie o to chodzi...

- Proszę mi powiedzieć, czego się pani obawia. Muszę to wiedzieć, bo inaczej nie mogę pomóc!

Odpowiedzią była cisza. Po chwili Marg Miller wybuchnęła płaczem.

- Przyszedł do domu w strasznym stanie - mówiła przerywanym głosem. - Prawie się nie odzywał. Od razu położył się do łóżka. Dzisiaj rano poszedł na spacer, bardzo długo go nie było, a kiedy wrócił do domu, wyglądał tak... jakoś dziwnie. Ale nie chciał ze mną rozmawiać. Wieczorem musiałam na chwilę wyjść, a kiedy wróciłam, już go nie było. Na łóżku zastałam kartkę, w której się ze mną żegna i mnie przeprasza. Nie ma jego samochodu. Nie ma też węża gumowego, który był przy drzwiach. Czy myślisz... On przecież nie mógł... Przecież na pewno nie...

- Jaki on ma samochód? - niemal krzyknęła Abbey.

- Czerwoną corollę.

- Proszę mi podać numer rejestracyjny.

- Nie znam go! - Głos Marg przeszedł znowu w płacz.

- Zaraz przyjadę, ale jeszcze przedtem zawiadomię policję, a pani niech koniecznie zadzwoni do siostry i poprosi, żeby do pani przyszła.

- Nie myślisz chyba, że on...
- Sądzi pani, że on chce popełnić samobójstwo?
- Tak... - Łkanie nie pozwalało Marg mówić. - Nie wiem dlaczego, ale...

tak podejrzewam.

- Już jadę.

## ***ROZDZIAŁ ÓSMY***

Ryan pojechał z Abbey.

Nie po raz pierwszy Abbey zobaczyła, że w trudnych sytuacjach można na niego liczyć. Teraz także, nie czekając na nic, zanim jeszcze skończyła telefonować na policję, załatwił Jackowi opiekę i czekał na nią w samochodzie przed domem.

Nigdy by jej nie przyszło do głowy, by prosić o pomoc Felicity, ale Ryan nie miał żadnych skrupułów. Ona jednak poczuła się najwyraźniej dotknięta jego prośbą.

- Na litość boską, Ryan - usłyszała Abbey, czekając na zgłoszenie się sierżanta policji - to nie twoja sprawa. Cóż cię obchodzą ci ludzie?

- Zobaczymy się później - rzekł Ryan bezbarwnym głosem, nie reagując na jej złość. - A teraz pójdę do sąsiadów, żeby znaleźć kogoś do Jacka...

Felicity odjechała jego samochodem, a Abbey szybko przestała o niej myśleć, bo miała ważniejsze sprawy na głowie. Wezwała do Marg nie tylko policję, ale także karetkę pogotowia.

- Mam nadzieję, że to wszystko niepotrzebne, że Marg Miller bez powodu robi tragedię - mruknęła pod nosem.

Trudno jednak było w to uwierzyć, bo Marg uważano za opanowaną, spokojną kobietę, która, będąc wdową, wychowała sześcioro dzieci, a w dodatku Abbey nigdy przedtem nie widziała, by starsza pani wpadała w panikę. Abbey nie opuszczał więc niepokój.

Przebrała się szybko, narzucając na siebie džinsy i bluzkę, a wychodząc, spotkała Marcie. Wsiadła więc od razu do samochodu, Ryan zaś zapalił silnik.

- W którą stronę mam jechać? - zapytał.

- Na północ. Wiesz chyba, gdzie Millerowie mają farmę?

- Chyba tak... Za Palm Road?

- Zgadza się. - Abbey zmarszczyła czoło. - Tylko tak sobie myślę, że tam nie ma po co jechać. Powiedz sam: dokąd może wyruszyć człowiek z farmy Millerów, mając z sobą gumowy wąż i chcąc popełnić samobójstwo? Pewnie w kierunku jakiegoś odludnego miejsca?

- Mhm...

Jechali w milczeniu. Noc była piękna i ciepła, w górze na niebie migotały gwiazdy. Nie była to noc, podczas której chciałoby się pożegnać na zawsze z życiem.

- Czy... rozmawiałeś w końcu z Ianem, gdy ci mówiłam, że dzieje się tam coś niedobrego? - spytała nieśmiało.

- Nie.

- Och...

I znowu zapadła cisza.

- Nie wydawało mi się to potrzebne. To w końcu nie mój pacjent.

Zadzwoiłem tylko, tak jak prosiłaś, do jego matki.

- No i co?

- Powiedziała, że niepokoi się zdrowiem Iana. Poradziłem jej więc, żeby zamówił sobie wizytę u ciebie albo u Steve'a, albo u mnie. Albo żeby poszedł do swojego lekarza w Sydney.

- To świetna rada, kiedy kogoś na przykład boli gardło - zauważyła spokojnie Abbey.

- A skąd ja, u diabła, miałem wiedzieć, że on ma zamiar popełnić samobójstwo?

- Oczywiście, że nie mogłeś o tym wiedzieć - przytaknęła. - Sama powinnam była zadzwonić.

- Posłuchaj mnie, jego zdrowie to nie twoja sprawa.

- Wiem. Dobrze słyszałam, co mówiła Felicity...

- Abbey...

- Najlepiej nic nie mów! Nie poznaję cię. W niczym nie przypominasz człowieka, którego kiedyś znałam i kochałam. Tylko że to nie ma teraz najmniejszego znaczenia. My się w tej całej sprawie nie liczymy. Zastanówmy się, gdzie on mógł pojechać...

- Do Thomlinsonów.

- Gdzie?

- Może do Thomlinsonów. Wiesz chyba, o czym mówię? Pamiętasz tę zatoczkę, z której wypływaliśmy, żeby uwolnić homary z sieci zastawianych przez starego Thomlinsona?

Abbey zaczęła się zastanawiać. Gospodarstwo Thomlinsonów, które leżało na północ od farmy Millerów, było trochę zaniedbane. Teren był nierówny i pagórkowaty, a zaraz za farmą rozciągały się góry. U ich stóp zaczynała się dzika roślinność.

Tuż przed domem Thomlinsonów znajdowała się ścieżka, która prowadziła do małej zatoki ukrytej wśród pagórków. Mało kto o tym wiedział, nawet wśród miejscowych. Ryan i Abbey odkryli tę drogę zupełnie przypadkowo, podczas jednej ze swych rowerowych wycieczek. Właśnie w czasie jednej z takich wypraw podpatrzyli, jak stary Thomlinson wybiera z sieci swą zdobycz. Później byli tam już częstymi gośćmi, ratując życie małym homarom.

- Ian zna doskonale to miejsce - mówił Ryan. - Chował się przecież na farmie Millerów, a dzieciaki stamtąd znały najbliższą okolicę nie gorzej od nas. Musiał też wiedzieć, że to odludne miejsce. Nikt tam nigdy nie zagląda. Można

zjechać w dół samochodem, a potem zawrócić, ale to wszystko. Ian mógł tam pojechać, usiąść sobie nad morzem, aż...

- Jedźmy więc - zdecydowała Abbey. - Gdyby go znaleziono gdzie indziej, zdążymy szybko zawrócić - dodała, kładąc rękę na telefonie komórkowym. - Boże, żebyś tylko miał rację... Żeby on tam tylko był.

Dwie minuty później wypatrzyli niewielki samochód stojący przy drodze prowadzącej w dół do plaży. Pokonując kilka piaszczystych pagórków, zatrzymali się wkrótce przy nim. Samochód stał przodem do morza. W świetle księżyca udało im się dostrzec, że rura wydechowa połączona została z gumowym węzłem prowadzącym do okna przy siedzeniu kierowcy.

Boże...

Ryan wyskoczył momentalnie z samochodu. Abbey, nie zważając na swoje kolano, wysiadła tuż po nim. Zanim jednak dobiegła do stojącego pojazdu, Ryan zdążył już otworzyć drzwiczki i wyciągnął na zewnątrz bezwładne ciało Iana. Zapach spalin był tak silny, że Abbey, krztusząc się, zasłoniła twarz ręką.

- Przynieś torbę - rzucił Ryan, odciągając ciało Iana jak najdalej od samochodu. - Tylko szybko! Wydaje mi się, że on jeszcze żyje.

Zanim Abbey wróciła, Ryan oczyścił pacjentowi drogi oddechowce. Abbey wydobyła z torby maskę, przyłożyła ją do ust Iana i rozpoczęła sztuczne oddychanie. W tym samym czasie Ryan przystąpił do masażu serca. Po trzech minutach ciało Iana wyprężyło się i zaczął samodzielnie oddychać. Bez odpowiedzi pozostawało jednak pytanie, przez jaki czas Ian nie oddychał?

Czy nie przyjechali za późno?

Może jednak zdążyliśmy, skoro akcja ratunkowa tak szybko dała rezultaty? - pocieszała się Abbey.

Ian zamrugał oczami. Otworzył je potem i przyjrzał się bacznie Abbey i Ryanowi.

- Nie chcę!



- Ian...

- Do diabła ciężkiego! Zostawcie mnie w spokoju.

Ryan zbadał Ianowi tętno i uśmiechnął się do Abbey. Nie miał wątpliwości, że niebezpieczeństwo minęło. Ian będzie żył!

Abbey zdawała sobie jednak doskonale sprawę, że kłopoty dopiero się zaczynają. Niejeden samobójca, którego udało się uratować, odbierał sobie życie wkrótce potem. Pewne jednak było to, że Ian ma teraz sposobność zacząć życie od nowa. Abbey wiedziała też, że będzie musiała mu jakoś pomóc.

Pomimo że zdaniem Ryana to nie jest jej sprawa.

Objęła Iana i przytuliła go mocno. Znali się przecież od dziecka, a z jego matką zaprzyjaźniona była od lat.

- Posłuchaj, Ian. Całym sercem jesteśmy z tobą. Nie wiem, dlaczego zdecydowałeś się na podobny krok, ale cokolwiek to było, możesz na nas liczyć. Teraz zawieziemy cię do szpitala, a jutro spróbujemy ci jakoś pomóc.

- To niemożliwe - wyszeptał Ian. - Nie dotykaj mnie, zostaw. Możesz złapać...

Ryan pochylił się nad Ianem z drugiej strony, wziął go mocno za rękę i uściskał.

- Czy jesteś zarażony AIDS? - zapytał spokojnie. Ian patrzył przed siebie oczami pełnymi przerażenia.

- Powiedz, czy dlatego to zrobiłeś, że jesteś zarażony?

- Wiem, że złapałem tego wirusa. Wiem to dobrze...

- Posłuchaj mnie - zaczął Ryan. - AIDS nie oznacza wyroku śmierci.

Wyniki ostatnich badań są rewelacyjne.

Ryan był najwyraźniej przejęty losem Iana. Abbey patrzyła na niego zdumiona. Nie przypuszczała, że Ryan potrafi się do tego stopnia zaangażować w sprawy człowieka, którego ledwie zna. Miała przy sobie znowu dawnego Ryana, który nie miał nic wspólnego z Ryanem należącym do Felicity.

- Pozwól, że porozmawiamy o tym jutro rano - ciągnął Ryan. - A teraz odpocznij sobie. Pamiętaj, że gdy się obudzisz, będziemy przy tobie. Nie zostawimy cię samego. Twoja matka szaleje z rozpaczy i bardzo cię potrzebuje...

Dopóki nie przyjechała karetka, Ryan nie puścił ręki Iana. Abbey siedziała po jego drugiej stronie. Ian przymknął oczy i bez protestu dał się zabrać pielęgniarzom.

- Skąd wiedziałeś, że ma AIDS?

- Inteligencja - rzucił Ryan, a Abbey wybuchnęła śmiechem.

Jechali samochodem na południe. Właśnie dzwonił Steve, aby zapewnić, że oczekuje Iana w szpitalu. Swój przyjazd zapowiedziała także pani Miller. Nie musieli się spieszyć, odetchnęli więc z ulgą. Tym razem udało się uniknąć tragedii.

- No to wyjaśnij mi, w jaki sposób za pomocą tej swojej błyskotliwej inteligencji doszedłeś do podobnego wniosku?

- Niewykluczone, że pomogła mi w tym intuicja. Pamiętam, że w szkole Ian był typem samotnika, zastanawiałem się też czasami, czy nie ma skłonności homoseksualnych. To było dawno temu, ale gdy mu się dobrze teraz przyjrzałem... A do tego ten jego strach, obawa, że może zarazić, bo go dotykasz...

Abbey pokiwała głową. Może Ryan ma rację. Wszystko by się zgadzało... Ian ukończył prawo na uniwersytecie w Sydney i bardzo rzadko przyjeżdżał do domu. Jako jedyny z rodzeństwa nie założył rodziny. Nigdy go nie widywano z dziewczyną...

- Czy ty sobie w ogóle zdajesz sprawę, co tu się dzieje od twojego przyjazdu? - zaśmiała się Abbey. - Przez ostatnie dziesięć dni dwukrotnie musieliśmy stosować sztuczne oddychanie! Pomyśleć tylko, że ostatni raz musiałam to robić pół roku temu, a w dodatku mi się nie powiodło. Nie wiem, czy to sprawiedliwe, że tobie udało się dwa razy w ciągu tak krótkiego czasu.

Widzisz - ciągnęła - tu człowiek rzeczywiście czuje się potrzebny. Dlatego nigdy bym stąd nie wyjechała. Gdybym przestała tu pracować, gdyby nawet ktoś przyszedł na moje miejsce, byłiby to lekarze spoza Australii, szukający przygody w egzotycznym miejscu. Kilku takich praktykowało w naszej okolicy. Spędzają tu zimę, są zachwyceni, ale potem przychodzi lato i postanawiają wyjechać jak najprędzej. Luty wystawia tu wszystkich na próbę.

- Pamiętam dobrze lato w Szafirowej Zatoce - wtrącił Ryan, przypominając sobie niesamowite upały, podczas których włożenie na siebie choćby szortów stawało się torturą. - Powiem ci jednak, że je nawet lubię, łącznie z deszczem, owadami i od czasu do czasu cyklonem.

- Najgorsze, że pojawiają się wtedy rozmaite infekcje tropikalne. Woda się ogrzewa, wszędzie pływają cząsteczki koralu. Wystarczy się wykapać, a małe zadrapanie przekształca się w zainfekowaną ranę. No ale o to będę się sama martwić. W lutym już dawno cię tutaj nie będzie. Czy na pewno będziesz mógł porozmawiać jutro rano z Ianem? - spytała jeszcze. - Nigdy nie miałam pacjenta chorego na AIDS i nie znam najnowszych metod leczenia.

- Zadzwoń jeszcze dzisiaj do Nowego Jorku - obiecał Ryan. - Jeden z moich kolegów jest specjalistą w tej dziedzinie, a w dodatku sam na to choruje. Kto jak kto, ale Marcus z pewnością będzie wszystko wiedział. A rano porozmawiam z Ianem.

Abbey zagryzła wargi.

- Czy... możesz mi to obiecać? Nie odpowiedział od razu.

- Widzę, że ty naprawdę uważasz, że się zmieniłem - odezwał się cicho, zaciskał mocno ręce na kierownicy. - Skoro obiecałem, to możesz mi wierzyć.

- Przepraszam cię, ale widzisz... od tego zależy życie Iana. A ja już mam wyrzuty sumienia z powodu dzisiejszego wieczoru. Przecież cały czas polegałam na tobie...

- Więc to wszystko moja wina - przerwał jej, najwyraźniej zirytowany. - Ale to prawda. Sam nie mogę sobie tego darować. - Zerknął na Abbey

ukradkiem. - Naprawdę czuję się winny. Widzisz, moja praca polega głównie na prowadzeniu badań naukowych i wykładach, a kiedy mam do czynienia z pacjentami, są oni już zwykle przebadani i przeważnie czekają na mnie uśpieni na stole operacyjnym. Przywykłem więc do sytuacji, w której mam do czynienia z kością udową albo miedniczką chorego, a nie panią Jones, której życie zależy często od operacji. - Westchnął ciężko. - Chyba dopiero w tej chwili zrozumiałem, jak brzemienne w skutki jest to, co robię, a raczej jak groźne mogą być konsekwencje, kiedy zaniecha się działania. Przez mnie omal nie wydarzyła się tragedia.

Po co ja mu robię wyrzuty, pomyślała, zła na siebie. W końcu nie zmienił się aż tak, żeby mu dokuczać właśnie wtedy, gdy sam czuje wyrzuty sumienia.

Jechali drogą wzdłuż plaży w kierunku miasta. Nad morzem połyskiwał srebrny księżyc. Na plaży nie było żywej duszy. Zaczynał się odpływ, a wtedy właśnie Szafirowa Zatoka wyglądała najpiękniej.

- Stań! - krzyknęła Abbey przeraźliwie i Ryan nacisnął tak gwałtownie hamulce, że gdyby nie pasy bezpieczeństwa, obydwójce wylecieliby chyba z samochodu.

- Co się stało?

- Zobacz tylko! Ryan, tylko zobacz...

Ryan spojrział przez okno i zobaczył na plaży wielkiego żółwia, który posuwał się ociężale, pozostawiając za sobą wyraźny ślad na mokrym piasku. Przypominał buldożer wykopujący na swej drodze tunel. Żółwie wylaniały się z morza tylko w jednym celu: by złożyć jaja.

- Ryan, nareszcie - wyszeptała Abbey. - Tak długo czekaliśmy...

Otworzyła drzwiczki i pobiegła w kierunku plaży. Ryanowi nie pozostawało nic innego, tylko pospieszyć za nią.

Obserwowali żółwicę blisko dwie godziny, prawie się do siebie przez ten czas nie odzywając.

Byli świadkami cudu.

Wielkie, zielone żółwie stawały się coraz rzadsze w tych wodach. Wychodziły na plażę, mając do dyspozycji tysiące kilometrów morskiego brzegu. Żółwica, na którą patrzyli, ze wszystkich możliwych plaż wybrała sobie to, a nie inne miejsce, o tej właśnie porze, gdy oni tamtędy przejeżdżali.

Abbey marzyła o takiej chwili przez całe życie.

Ryan pragnął tego także, gdy byli dziećmi. Zdawało jej się więc teraz, że musi być równie szczęśliwy jak ona. Zupełnie nieoczekiwanie mogła sobie pozwolić na pozostanie na plaży. Pierwszy raz w życiu ma czas! Marcia opiekuje się Jackiem, a Steve ma pieczę nad szpitalem.

Przycupnęła cicho w nadmorskich trawach, a gdy żółwica zaczęła kopać w piasku, mogła wyciągnąć rękę, by jej dotknąć. Żółwica miała ponad pół metra szerokości i blisko metr długości. Trudno powiedzieć, czy zauważyła obecność ludzi. Kopała w piasku wytrwale, a Abbey i Ryan zachowywali absolutną ciszę. Ryan przykucnął obok i obydwójce chłonęli wzrokiem cudowny widok.

Czas, który tam spędzili, uzdrowił ich.

Ostatnich parę lat Abbey przeżyła jak w koszmarnej śnie. Wszystko następowało po sobie tak szybko... Śmierć Johna, narodziny Jacka, ruina finansowa i ciągle napięcie w pracy, której nie było nigdy końca.

A Ryan?

Ryan przyglądał się żółwicy, która szukała bezpiecznego miejsca dla swego potomstwa, czując przy tym, jak podstawy, na których budował do niedawna swe życie, rozsypują się w gruzy.

Dopiero teraz zrozumiał, że wyjeżdżając, zostawił w Szafirowej Zatoce połowę siebie. Gdy miał piętnaście lat, matka zabrała go stąd na drugi koniec świata, niszcząc potem systematycznie wszelkie wspomnienia z dzieciństwa. Opowiadała mu, że ojciec go nie kocha, bo gdyby go kochał, walczyłby przecież w sądzie o prawo opieki nad nim. Na każdym też kroku podkreślała, że Szafirowa Zatoka to zabita deskami wiocha.

Dwadzieścia lat podobnych opowieści zrobiło swoje. Ryan niemal uwierzył matce. Teraz jednak, gdy wraz z Abbey, którą czuł blisko przy sobie, obserwował w poświacie księżyca cud natury, przestał jej wierzyć.

Przez dwie godziny siedział, patrzył i rozmyślał. Nie było to długo, ale okazało się, że nawet w tak krótkim czasie odmienić się może całe życie człowieka.

Żółwica wykopała obszerną jamę, odrzucając na boki piasek, a potem zaczęła składać jaja...

Powoli, jedna za drugą, miękkie kule spadały cicho do piasku. Rodziło się nowe życie. Gdy ostatnie jajo wpadło do dołka, żółwica zaczęła je powoli i starannie zasypywać płetwami. Po chwili odwróciła się i spojrzała na Abbey i Ryana.

Spojrzała im prosto w oczy - jakby wzywała ich do opieki nad złożonymi przez siebie jajami.

Zawróciła potem wolno i oddaliła się majestatycznie w stronę oceanu. Morze przyjęło ją z powrotem, zalało falami, i gdyby nie głęboka koleina, którą zostawiła na piasku, można by sądzić, że był to tylko sen.

- Widziałeś? - wyszeptała Abbey. - Widziałeś? Ona wiedziała, że mu tu jesteście, i pozwoliła nam na siebie patrzeć.

- Pewnie domyśliła się, że jesteście lekarzami.

Uśmiechnął się, ale on także był poruszony. Był tym wszystkim bardzo poruszony. Zbyt wiele wydarzyło się ostatnio. A teraz to miejsce i ta dziewczyna, która była jego przyjacielem...

Ileż to październikowych i listopadowych nocy spędzili razem na plaży, szukając na próżno tego, co udało im się zobaczyć dopiero teraz!

- Jeszcze tylko jutro - błagała go Abbey, gdy on decydował się w końcu przerwać poszukiwania. Zwykle dawał się jednak ubłagać, gdyż pragnął zobaczyć żółwicę nie mniej niż Abbey. Wymykali się z domu, wtedy gdy ich matki przekonane były, że dawno już śpią. Jeżeli nawet matka Abbey domyślała

się, że sińce pod oczami córki mają związek z okresem łęgu żółwi, nigdy jej o tym nie mówiła.

A potem Ryan wyjechał.

- Przecież nie udało nam się jeszcze zobaczyć żółwicy - rozpaczala Abbey, gdy Ryan oznajmił jej o swoim wyjeździe.

Gdy wyjechał, przestała szukać żółwi. Nie miało to już większego znaczenia, skoro jego miało przy tym nie być. A teraz wrócił i razem zobaczyli to, o czym marzyli przez tyle lat.

Spojrzała na niego i zobaczyła, że się jej przygląda. Zachwyt, który przepelniał jej serce, znalazł odbicie w jego oczach.

- Abbey...

- Czy widziałeś kiedyś coś równie pięknego? - wyszeptala, a Ryan ujął ją za ręce.

- Jeszcze nigdy...

Okazało się niespodziewanie, że Ryan nie mówił wcale o żółwicy. I że nie o niej myślała Abbey.

Ważne było tylko to, że trzymali się za ręce.

Liczyło się tylko to, co istniało między nimi.

Ryan.

Jej przyjaciel.

Jej miłość.

Teraz już nic nie dzieliło ich od siebie. Zupełnie nic, nawet odległość. Ryan pochylił głowę, a ona ją uniosła. Żeby go powitać i lepiej poznać. Szukał gorączkowo jej warg, ona zaś nie broniła się wcale. Czula, że tak właśnie trzeba, że przy nim jest jej miejsce. Niewykluczone, że było tak zawsze, choć dopiero teraz pojęła, że w jego ramionach odnalazła swój dom.

Nie był to jedyny cud, jaki zdarzył się tej nocy. Razem przecież z Ryanem znaleźli po wielu latach poszukiwań żółwicę.

Ryan...

Miękki, nagrzanym tropikalnym słońcem piasek przyjął gościnnie ich ciała. Leżeli spleceni ramionami, widząc nad sobą rozgwieżdżone niebo i księżyc. Ryan... Oddała mu pocałunek, a potem zaczęła go całować coraz bardziej zachłannie i namiętnie. Ryan należy przecież do niej. Jakim prawem opuścił ją na tyle lat? Jakim prawem zamierza poślubić Felicity?

Wspomnienie tej kobiety przeraziło ją na chwilę, starała się więc ze wszystkich sił odpędzić od siebie myśl o niej. Obejmowała Ryana i tuliła się do niego całym ciałem. Pragnęła go tak bardzo...

Felicity...

Nie sposób było o niej zapomnieć. Na nic się zdały próby odpędzenia niewygodnych myśli. Ryan zauważył jej niepokój i odsunął się nieco, spoglądając jej w oczy.

- Abbey, co ci jest, kochanie? - wyszeptał.

- A Felicity? - spytała, patrząc nieruchomo przed siebie.

Zapadła cisza. Po chwili Abbey odepchnęła od siebie Ryana i podniosła się, nie chcąc na niego patrzeć. Nie chciała patrzeć na człowieka, którego kochała.

- Odwieź mnie do domu - poprosiła cicho. - Chyba oboje straciliśmy rozum. Zapomniałeś, że jesteś przecież zaręczony...

Powiedz, że to nieprawda! Abbey zdawało się, że jej serce rozleci się na kawałki. Ryan jednak nic nie powiedział. Stał obok, patrząc na nią ze zmarszczonym czołem.

- Masz rację. Postradaliśmy chyba rozum... I tyle. Taki więc jest koniec wieczoru.

- Pomóż mi zatrzeć ślady żółwicy, zanim odjedziemy - poprosiła, spoglądając na morze.

Musi się czymś zająć, żeby przestać myśleć...

A jest przecież czym się zająć. Należy za wszelką cenę ratować żółwie jaja, którym groziły najrozmaitsze drapieżniki i ludzie. Trzeba było w tym celu



pozostawić po sobie jak najwięcej śladów, aby nikt nie domyślił się obecności żółwia na plaży.

Ryan bez słowa zebrał wyschnięte wodorosty i zaczął grabić nimi piasek. On także nie znajdował słów dla wyrażenia swoich uczuć. Abbey patrzyła na niego przez chwilę, a potem poszła w jego ślady.

Jestem jednym z duchów przeszłości, które nawiedzają Ryana, myślała sobie. Czowała, jak bardzo jej pragnął, znała jednak dobrze jego matkę, poznała też Felicity. Wiedziała dobrze, czego można się po nich spodziewać.

- W mieście jest grupa ludzi, która zajmuje się ochroną żółwi - odezwała się bezbarwnym głosem, gdy wsiadali do samochodu.

Żółwie przestały ją w tej chwili zupełnie interesować. Marzyła tylko o tym, by znaleźć się w domu, położyć do łóżka i wypłakać.

- Pokażę im, gdzie są schowane jaja - dodała - a oni już zapewnią żółwikom drogę do morza.

Maleńkim żółwiom po wykluciu się z jaja groziło bowiem wielkie niebezpieczeństwo. Zdarzało się, że wszystkie żółwie z jednego gniazda podczas wędrówki do morza chwywane były przez mewy lub inne drapieżniki.

- Chciałabym zobaczyć, jak się wylęgają - dodała po chwili. Ryan milczał.

- Może będę ci mogła przysłać fotografię - szepnęła. Ryana przeniknął straszny ból. Któregoś dnia dostanie od

Abbey fotografię, powiesi ją sobie na ścianie po to tylko, żeby do końca życia nie móc zapomnieć tego wieczora. Nie umiał o tym myśleć spokojnie.

Gdy wrócił na farmę, Felicity rozmawiała właśnie przez telefon. Powitała go chłodnym uśmiechem i uniesieniem brwi. Ręką wskazała pustą filiżankę. Ryan zrobił jej kawę i usiadł, czekając, aż jego ukochana skończy rozmowę z Nowym Jorkiem.

Jego ukochana?

Powiniennem się także zabrać do pracy, pomyślał. Mam już masę zaległości. A dziś spędziłem tyle godzin na oglądaniu żółwia. Ileż to zmarnowanego czasu!

Zmarnowanego?

Felicity z pewnością uznałaby ten czas za zmarnowany. Podobnie zresztą jak koledzy Ryana w Nowym Jorku. Ale może jednak nie? Może przynajmniej niektórzy z nich by mu zazdrościli?

- Która jest teraz godzina w Nowym Jorku? - zapytał, gdy Felicity skończyła rozmawiać.

- Koło jedenastej rano - odparła, zasiadając od razu do komputera. Po chwili już pisała. Felicity nigdy nie miała czasu na pogaduszki. - Dlaczego tak długo nie wracałeś? Czy to było samobójstwo? - spytała mimochodem, nie unosząc głowy znad klawiatury komputera.

Myśłami była gdzie indziej, bez reszty oddana pracy. To właśnie między innymi cenił w niej tak bardzo. Miała olśniewający umysł, olśniewające ciało i... I co jeszcze?

A co ma być jeszcze? - ofuknął sam siebie. Niczego więcej mi nie potrzeba. Felicity daje mi wszystko, czego pragnę.

Wszystko, czego pragnę?

- Znaleźliśmy go - odezwał się. - Okazało się, że ma AIDS. Zmarszczyła czoło.

- Czy samobójstwo zakończyło się śmiercią?

- Nie, ale niewiele brakowało. Udało nam się go uratować.

- Ależ Ryan! - Zupełnie niespodziewanie Felicity zainteresowała się całą sprawą. - Mam nadzieję, że zachowujesz ostrożność!

- Mieliśmy maskę...

- A rękawiczki? Na litość boską! Udzielanie pomocy chorym na AIDS nie należy do twoich obowiązków. Jeżeli Abbey chce się tym zajmować, to jej sprawa, ale ona nie ma prawa ciebie do tego mieszać.

To prawda. Abbey nie ma prawa prosić go o cokolwiek.

Sama jednak myśl o tym, że Abbey nie ma takiego prawa, dziwnie go zabolą. Abbey jest jego przyjacielem.

Wiele go kosztowało, by nie wracać myślami do Abbey spoczywającej w jego ramionach, tulącej się do niego, czekającej na jego pocałunki.

Abbey była śliczna. To prawda, tyle że nie było dla niej miejsca w jego planach na przyszłość. Co innego Felicity...

Abbey była wdową, miała dziecko i niezliczoną ilość obowiązków. Do jego życia w Stanach pasowałaby tak, jak kwiatek do kozucha.

Wzruszył ramionami i wziął słuchawkę, aby zadzwonić do Nowego Jorku. Życie musi toczyć się dalej...

## ***ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY***

Następnego dnia o ósmej rano w szpitalu pojawiło się troje lekarzy.

- Bardzo mi przykro - rzekła na ich powitanie Eileen - ale nie jestem w stanie zapewnić każdemu z was odpowiedniej liczby pielęgniarek.

- Może by więc doktor Wittner wróciła na urlop? - odezwał się Ryan, obrzucając Abbey groźnym spojrzeniem.

Abbey wyglądała dziś ślicznie. Miała na sobie sukienkę w podobnym odcieniu błękitu co oczy, a jej twarz okalały lśniące, puszyste włosy.

- Może by doktor Henry wrócił do Nowego Jorku? - odparowała, rumieniąc się przy tym.

Ryan podobał jej się tak bardzo, że nie mogła oderwać od niego oczu. Ani zapomnieć o wczorajszym pocałunku.

- Ja w każdym razie nie wybieram się do Cairns - wtrącił Steve. - Bardzo mi się tu podoba.

Abbey i Ryan jak na komendę odwrócili się w jego stronę.

- Nie rozumiem? - zdziwił się Ryan. - Przecież musiałem uciec się niemal do szantażu, żebyś się zgodził tu przyjechać.

Tym razem zaczerwienił się Steve.

- Tak czy owak, bardzo mi się tu teraz podoba - powtórzył, nieco zakłopotany. - Medycyna staje się porywająca dopiero wtedy, gdy ma się do czynienia z ludźmi. Niewykluczone, że znowu zmienię specjalizację.

- Ale co będzie z obchodem? - przerwała Eileen. - Zamiast pielęgniarki mogę komuś przydzielić Teda.

Sprawa rozwiązała się sama, gdy Abbey oświadczyła, że poprzestanie dzisiaj na odwiedzeniu Janet i Iana Millera. Ryan, który w ciągu godziny spodziewał się przyjazdu ojca karetką z Cairns, poprosił o poranny obchód. Steve'owi przypadł więc dyżur w przychodni.

Niewiarygodne! Żeby w szpitalu było za wielu lekarzy, myślała Abbey, idąc korytarzem w kierunku pokoju Janet.

- Posłuchaj, Ryan - odezwał się niespodziewanie Steve. - Jeśli dobrze pamiętam, chciałeś, żebym został tu cztery tygodnie?

- Zgadza się - odparł Ryan, wpatrzony w Abbey, która zniknęła za zakrętem korytarza.

- Mógłbym tu właściwie zostać dłużej - dodał Steve. - Pomógłbym Abbey, a ty byś się zajął ojcem i swoim ślubem i już nie musiałbyś tu przychodzić.

- No tak... - odrzekł Ryan, myślami będąc gdzie indziej.

- Odpowiedz mi, proszę, bo może wolałbyś jednak dalej pracować z Abbey?

- Ależ nie... - Ryan spojrzał po raz pierwszy na Steve'a.

- Zadowolony jesteś po prostu z pracy w tym szpitalu, rozumiem. - Po twarzy Steve'a przemknął uśmiech. - No to w takim razie nie będziesz miał chyba nic przeciwko temu, żebym zaprosił Abbey podczas weekendu na kolację.

Ryan przyjrzał mu się uważnie.

- Ty i Abbey...

- Ja i Abbey...

- Do diabła! Zapadło milczenie.

Po chwili Steve wybuchnął śmiechem.

- Wszystko już wiem. Ale nic się nie martw, chciałem po prostu zbadać sytuację. A na kolację wybieram się z pielęgniarką, która ma tu dyżury nocne. Wspaniała dziewczyna!

- Steve... - Ryan próbował się opanować. - Nic mnie nie łączy z Abbey. Wiesz przecież, że jestem zaręczony z Felicity.

- Wiem - skinął głową Steve. - I powiem ci szczerze, że na twoim miejscu, dobrze bym się nad tym zastanowił. Mogą potem wyniknąć z tego niepotrzebne komplikacje.

Ryan zapukał delikatnie do drzwi Iana Millera, a potem wszedł. Ian prawie nie zwrócił na niego uwagi.

Był szary na twarzy i bardzo chudy, nie wyglądał jednak na wyniszczonego czy zagłodzonego.

- Dzień dobry, Ian, czy zjadłeś już śniadanie? - Rzut oka wystarczył, by zobaczyć, że Ian nic nawet nie tknął. - Czy chcesz ze mną porozmawiać? - spytał Ryan.

Ian popatrzył na niego tępo i wzruszył ramionami.

- Mam teraz obchód - wyjaśnił Ryan, przysuwając sobie krzesło do łóżka chorego. - Powinienem cię zbadać, ale nic nie zrobię bez twojej zgody. Przede wszystkim powiedz mi, czy otrzymałeś ostateczną diagnozę? Czy to przypadkiem nie domysły? Czy masz AIDS, czy jesteś tylko zakażony wirusem HIV?

- To nie są żadne domysły - zapewnił Ian i opowiedział Ryanowi swoją historię.

Zrobił wszystkie badania, gdy dowiedział się o śmierci przyjaciela na AIDS. Miesiąc temu badanie na obecność wirusa HIV dało wynik dodatni.

- Rozumiem - pokiwał głową Ryan. - Chciałeś popełnić samobójstwo, bo jesteś przekonany, że wkrótce czeka cię straszna śmierć.

- Mogłem umrzeć zeszłej nocy...

- Gdybyśmy nie pokrzyżowali ci planów - uśmiechnął się Ryan, widząc wchodzącą Abbey. - Posłuchaj, Abbey, ten człowiek ma do nas pretensje, że mu pomieszaliśmy szyki. Czy myślisz, że nas pozwie za to do sądu?

- Lepiej niech nas nie pozywa. - Abbey uśmiechnęła się do Iana, obejmując go na przywitanie. - Bo poskarżę się twojej mamie - zagroziła mu - a z mamą musisz się liczyć. Była nieprzytomna z rozpaczy, bo od dawna podejrzewała, że coś jest nie tak. Dlaczego jej nic nie powiedziałeś?

- Nie mogłem.

- Dlaczego? Nie odpowiedział.

- Czy twoja matka wie, że jesteś homoseksualistą? - spytał Ryan.

Ian potrząsnął przecząco głową.

- Dlatego właśnie mieszkam w Sydney.

- Może lepiej byłoby jej powiedzieć?

- Nie chcę, żeby ktoś się tutaj o tym dowiedział - wybuchnął. - Ludzie są tacy nietolerancyjni.

- Kiedy to nieprawda - wtrąciła Abbey. - Nie pamiętasz już po prostu dobrych stron życia w małym mieście. Podobnie zresztą jak Ryan.

Wyjechaliście stąd jako nastolatki i potem już nie wracaliście. A jeśli chodzi o Szafirową Zatokę, jedno trzeba przyznać: ludzie tutaj zawsze bronią swoich. A ty pochodzisz przecież właśnie stąd. Rodzina z pewnością cię nie potępi.

- Skąd wiesz?

- Niewykluczone, że dawno już się wszystkiego domyślają. Tak jak Ryan. Opowiedz im o sobie, a zobaczysz, że mam rację.

- Ale ja mam AIDS.

- To niech ci Ryan opowie o nowych sposobach leczenia.

- Zaczyna się od tego, że nie masz wcale AIDS, tylko zostałeś zarażony wirusem HIV. Nie rób więc od razu tragedii, tylko posłuchaj.

Ryan opowiedział mu o najnowszych metodach leczenia stosowanych właśnie w Stanach. Z ostatnimi wynikami badań naukowych zapoznał się w nocy.

- Posłuchaj, chłopie - zaczął Ryan. - Nastąpił niewyobrażalny przełom w badaniach nad AIDS, twoje wiadomości są zupełnie przestarzałe. Pacjenci leczeni są teraz zestawami leków, których skutki uboczne są minimalne. Długość przeżycia stale wzrasta. Przypuszcza się, że pacjenci, którzy są jedynie zarażeni wirusem HIV, mogą mieć nadzieję, że nigdy nie zachorują. Jeszcze kilka lat temu długość życia chorych nie przekraczała pięciu lat, a teraz... w ogóle nie mówimy o śmierci. Długość życia stale się wydłuża i można mieć nadzieję, że nigdy nie będziesz miał AIDS. Całkiem możliwe, że prędzej zginiesz w wypadku samochodowym, niż w ciągu najbliższych dziesięciu lat umrzesz z powodu HIV.

Ryan uśmiechnął się, Ian zaś spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Żarty sobie stroisz.

- Najlepiej, jak sobie sam o tym poczytasz. - Ryan wręczył Ianowi plik odbitek. - Wiedziałem, że mi tak łatwo nie uwierzysz, poprosiłem więc kolegę o przysłanie faksem literatury na ten temat.

Ian wziął do ręki pierwszą stronę, potem drugą i trzecią... Twarz powoli zaczęła mu się rozjaśniać.

Wyrok śmierci przestał mu wisieć nad głową. Po chwili jednak zachmurzył się znowu.

- Co będzie z moją pracą? Jestem prawnikiem w międzynarodowej spółce. Mamy obowiązek przechodzić co roku badania lekarskie w związku z ubezpieczeniem emerytalnym. Na pewno stracę pracę.

- To im sam wymów - rzekł Ryan tak szybko, że Abbey spojrzała na niego zdziwiona.

- I co będę robił?

- To, co Abbey - uśmiechnął się Ryan. - Obydwaj wyjechaliśmy w wielki świat i zarabialiśmy masę forsy, a przez ten czas Abbey siedziała w Szafirowej Zatoce i pilnowała, żeby się tu wszystko nie rozpadło. Ludzie kochają ją za to. Szukałem dziś rano jakiegoś prawnika. Jedyne tutejszy prawnik ma osiemdziesiąt lat i jedyne, co jest jeszcze w stanie zrobić, to złożyć podpis na dokumentach, jeśli ktoś poda mu szkło powiększające. Gdybyś tu wrócił, powitano by cię z radością. I mógłbyś z pewnością rozpocząć pracę.

- Wrócić...

- A dlaczego by nie? Przeżyłeś koszmar, spróbuj więc wrócić choć na chwilę do domu i zobaczyć, czy Szafirowa Zatoka cię nie uleczy. - Zerknął z uśmiechem na Abbey. - Widzieliśmy wczoraj żółwicę składającą jaja. Może chciałbyś zobaczyć, jak wylęgają się młode?

- Widzieliście żółwicę? - Ian uniósł się na poduszce z roziskrzonym wzrokiem. Jak wszystkie prawie tutejsze dzieci, poszukiwał na plaży żółwi w okresie lęgu. - Gdzie to było?

- Niecałe dwa kilometry od tego miejsca, gdzie cię znaleźliśmy. Jeżeli zechcesz, zawiozę cię tam później.

- Wcale nie musisz tak się mną zajmować. - W głosie Iana znowu była nieufność. - Nie potrzebuję niczyjej litości.

- A ja nie potrzebuję niczyich humorów - odrzekł Ryan. - Jeśli nie masz ochoty na tę wyprawę, po prostu powiedz. Przed wyjazdem zapukam do ciebie i jeśli będziesz chciał, to pojedziesz, bo ja na pewno się tam wybiorę. A teraz musimy już iść. I mnie, i Abbey czeka praca. Ty zresztą też masz zajęcie - dodał, spoglądając na plik papierów.

- Coś nieprawdopodobnego! - rzekła Abbey, gdy wychodzili z Ryanem na korytarz. - Żebyś ty właśnie namawiał Iana na powrót do domu! Przemawiałeś do niego jak lokalny patriota...

- Byłoby to dla niego najlepsze rozwiązanie.



- Ależ on połowę życia spędził w zagranicznych podróżach. Jak taki człowiek może czuć się szczęśliwy w Szafirowej Zatoce? Jest pod tym względem podobny do ciebie - dodała cichym głosem. - Sam wiesz, jakie to może być trudne.

Ryan milczał. Abbey patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, a potem odeszła, aby odwiedzić Janet.

W godzinę później karetka przywiozła Sama Henry'ego. Natychmiast zażądał widzenia z Janet.

- Może byś najpierw chwilę odpoczął? - spytał Ryan.

Operacja udała się znakomicie i Sam czuł się doskonale, ale podróż z Cairns trwała dość długo i była męcząca.

- Wykluczone. - Sam chwycił Ryana za rękę, a pielęgniarze, którzy go przewozili wózkami inwalidzkimi, zatrzymali się, czekając na wyraźne polecenie. - Cieszę się, że nadal tu jesteś. Mam nadzieję, że jeszcze się nie ożeniłeś?

- Mówiłem ci przecież, że zaczekamy na twój powrót. Przyprawdzą Felicity dzisiaj po południu i wtedy ustalimy termin ślubu.

- No to dobrze - uśmiechnął się z zadowoleniem Sam. - Ale powiedz mi, co z Janet? - spytał z niepokojem. - Muszę się z nią zobaczyć.

- Wszystko w porządku. Pamiętaj jednak, że ona jest dopiero trzy dni po operacji.

- Ale czy może przyjmować gości?

- Może. Jeśli to takie pilne, zaraz cię tam zawieziemy.

- Właśnie o to mi chodzi - rzekł z ulgą Sam.

- Nie wiesz przypadkiem, dlaczego mój ojciec tak bardzo nalegał na widzenie się z twoją teściową? - spytał Ryan, spotykając przypadkiem Abbey w pokoju pielęgniarek. - A poza tym co ty tu jeszcze robisz?

- Muszę skończyć zaległą pracę papierkową - odpowiedziała cicho. - Będzie mi łatwiej, gdy wyjedziecie stąd ze Steve'em.

- No tak...

Zapadła cisza. Ryan myślał, jak to będzie, gdy Abbey zostanie znowu sama, by z wielkim trudem zmagać się z wyzwaniem dnia codziennego. Myślał też, jak to będzie, gdy po wyjeździe stąd nigdy już jej nie zobaczy.

- To ojciec wrócił? - spytała, przyglądając mu się uważnie.

- Tak, i od razu poprosił, żeby go zawieźć do Janet. Powiedz mi, czy ich coś łączy, czy mi się tylko tak wydaje?

- Zawsze byli przyjaciółmi - odparła. - Tak jak ja i ty - dodała z nutką niepewności w głosie. - Znają się od dziecka...

- Więc nie ma mowy o żadnym związku uczuciowym?

- Przecież ci mówię. Są przyjaciółmi, tak jak ty i ja...

Abbey za wszelką cenę chciała zmienić temat rozmowy, a jej spojrzenie padło właśnie na pliki kart z historiami chorób. Na górze leżały dokumenty Leith Kinley.

- Spotkałam rano ojca Leith - zaczęła. - Nie wiedziałam, że zabierałeś ją na kolejne lekcje pływania. Są zachwyceni, a mała robi duże postępy.

- Jest bardzo zdolna - mruknął. - To prawdziwa przyjemność nauczyć ją czegoś.

- Szczerze mówiąc... - zaczęła. - No więc tak sobie myślę, że na miejscu Felicity byłabym na ciebie wściekła. Czy ty w ogóle masz dla niej czas? Ona się musi śmiertelnie nudzić. Jesteś przecież ciągle zajęty. Pomagasz mnie, zajmujesz się ojcem i Leith...

- Felicity nigdy się nie nudzi - wtrącił chłodno.

Muszę mu wszystko wygarnąć, postanowiła Abbey. On jest dla mnie taki dobry, poświęcił mi tyle czasu, ale w końcu to miał być miesiąc miodowy Felicity...

- Przemyśl to wszystko, bo możesz zniszczyć swoje małżeństwo - powiedziała cicho. - Gdyby Felicity wiedziała, że mnie wczoraj całowałeś... -

Urwała w połowie zdania, gdyż wspomnienia ubiegłego wieczoru były jeszcze zbyt żywe.

- Abbey...

- Przepraszam cię, ale muszę się brać do pracy. Zostaw mnie teraz i wracaj do Felicity.

Ryan wyszedł, by zakończyć obchód, a idąc na oddział, próbował uporządkować rozbiegane myśli.

Abbey ma rację. Nie jest dobry dla Felicity. Felicity jednak zdawała się zadowolona ze swego losu; zainstalowała się wygodnie na farmie Sama i nie wstawiała od komputera.

A on przez ten czas pomagał Abbey...

Tylko że Abbey niepotrzebna jest już pomoc, zdecydował, zmieniając opatrunek na poparzonej stopie małego Petera Harkneta. Abbey odzyskała już sprawność nogi. Okoliczni farmerzy nadal doili jej krowy, Marcia zaś wspaniale zajmowała się Jackiem. W dodatku przez najbliższe dwa tygodnie ma jej jeszcze pomagać Steve.

- A więc...

A więc trzeba się znowu zająć Felicity i powrócić do dawnych obowiązków...

Podobnie jak Steve, Ryan nie miał na to najmniejszej ochoty.

- Dlaczego nic nie mówisz? - dopytywał się pięcioletni Pete.

Chłopczyk przed trzema dniami wsadził nóżkę do pudła z suchym lodem, który miał chłodzić jego tort urodzinowy. Od kiedy przybył na oddział, buzia mu się nie zamykała i milczenie Ryana bardzo mu się nie podobało.

- Zamyśliłem się - odparł Ryan, próbując się uśmiechnąć. -

Zastanawiałem się właśnie, co ci przyszło do głowy! Wsadzać gdzieś nogę tylko po to, żeby się przekonać, czy tam zimno, czy gorąco...

- Właściwie to chciałem zobaczyć, jak to smakuje - tłumaczył Pete. -  
Dobrze, że nie wziąłem tego do buzi, co? Mamusia powiedziała, że pewnie by  
mi wtedy odpadł język!

- Pewnie, że dobrze - zgodził się Ryan.

- Mamusia mówi, że ty się niedługo ożenisz. Oj, boli! -skrzywił się po  
chwili.

Nie sposób było oczyścić ranę, nie zadając chłopcu bólu, ale na szczęście  
Pete zachowywał się bardzo dzielnie. Zasłużył sobie na to, by go traktować  
poważnie.

- Zgadza się.

- Ożenisz się z Amerykanką?

- Mhm...

- Ty też jesteś trochę taki amerykański, ale mamusia mówi, że tu się  
urodziłeś i chodziłeś do szkoły.

- No tak, ale to było bardzo dawno.

- To dlaczego się nie ożenisz z kimś, kto tu mieszka, i nie zostaniesz z  
nami? - dopytywał się chłopczyk. - Dlaczego chcesz wyjechać?

No właśnie, dlaczego ja chcę wyjechać?

Zapadła cisza.

- Dlaczego ty nic nie mówisz? - pytał Pete, a Ryan w odpowiedzi tylko  
ciężko westchnął.

Ian nie mógł towarzyszyć Ryanowi w wyprawie na plażę. Gdy Ryan  
zapukał do niego po skończonym obchodzie, zastał pokój pełen ludzi. Kogo tam  
nie było! Matka, bracia, siostry, siostrzenica, siostrzeńcy, bratankowie,  
szwagrowie... Słowem, cała rodzina.

Ian zmienił się nie do poznania. Jego policzki nabrały koloru, zgarbiona  
sylwetka wyprostowała się.

- Zostawcie nas na chwilę samych - poprosił. - Muszę się dowiedzieć od  
mojego lekarza, kiedy będziecie mnie mogli zabrać do domu.

- Widzę, że cię nie potępili - uśmiechnął się Ryan, gdy zostali sami. - Czy wszystko im powiedziałaś?

- Abbey, to znaczy doktor Wittner, miała rację. Oni się dawno wszystkiego domyślali. Nie rozmawiali tylko o tym ze mną, bo uważali, że to moja prywatna sprawa. Moja rodzina...

- A teraz chcą ci pomóc?

- Chcą - potwierdził ze zdumieniem. - Powiedziałem im, że jestem zarażony, a wtedy siostry zaczęły mi robić wyrzuty, że to przed nimi ukrywałem, że nie miałem do nich zaufania. Mama się rozplakała... A moi szwagrowie powiedzieli, że to wspaniały pomysł, żebym zaczął tu praktykować. Tak sobie więc myślę...

- Nie pozostaje ci więc nic innego, tylko dojść do siebie i ustalić leczenie, a potem musisz już sam podjąć decyzję, czy będziesz chciał wytknąć jeszcze nos na szeroki świat, czy zechcesz tu pozostać.

Mówiąc to, Ryan wyjrzał przez okno.

- Nie ma chyba na świecie piękniejszego miejsca niż Szafirowa Zatoka - oznajmił z żalem, patrząc na iskrzące się w słońcu morze.

- To dlaczego tu nie zamieszkaasz?

- Jestem w trakcie robienia kariery naukowej - odrzekł Ryan niepewnym głosem. - Mam różne zobowiązania w Stanach, a zresztą moja narzeczona nie chciałaby tu zostać. Życzę ci szczęścia, ale ja będę musiał stąd niedługo wyjechać.

Żółwim jajom nic nie zagrażało.

Ryan powinien być teraz w domu z Felicity, a zamiast tego spędził dwie godziny na plaży. Przyplływ zatarł wszelkie ślady wizyty samicy i nikt by się teraz nie domyślił, że piasek nadmorski skrywa budzące się do życia żółwiątka.

Kiedy się wylęgną?

Kto to może wiedzieć? On w każdym razie nie miał pojęcia i wcale go to nie interesowało. Cóż by mu to dało, gdyby znał datę i potem, siedząc w

Stanach, patrzył na kalendarz, myśląc, że właśnie teraz cała Szafirowa Zatoka odprowadza żółwiątka do morza.

Nadszedł czas powrotu. Nic go tutaj nie zatrzymuje. Zupełnie nic. Szafirowa Zatoka to cudowny zakątek, ale nie po to wspinał się po szczyblach kariery, by pod wpływem emocji wszystko teraz rzucić. Myśl o Abbey nie dawała mu jednak spokoju. Nie był w stanie zapomnieć tego, co wydarzyło się wtedy wieczorem, jej zapachu, bliskości...

Abbey...

Tak bardzo jej pragnął.

Wstał i stanął nad brzegiem morza, jakby miał nadzieję, że właśnie ono przyniesie mu odpowiedzi na dręczące go wątpliwości. Wiedział jednak dobrze, że decyzję może podjąć tylko on sam.

Musi wracać do Stanów. Musi ożenić się z Felicity.

Przecież to niemożliwe! Nie mogę się ożenić z Felicity. W żaden sposób nie mogę.

Felicity pocałowała go wczoraj na dobranoc. Był to gorący pocałunek. Gdyby nie telefon, który w tej samej chwili ją wezwał...

Gdy byli jeszcze w Stanach, myślał zawsze o Felicity jako o jednej z najpiękniejszych znanych mu kobiet. Felicity była przy tym ambitna i przebojowa. Była cudowna. W tej chwili myślał o niej to samo - tylko ostatnie określenie wydało mu się chybione. Poczul nagle, że wcale nie ma ochoty na poślubienie dziewczyny, która zdaje się przyrośnięta do telefonu i komputera.

Chciał za to ożenić się z Abbey.

Myśl o poślubieniu Abbey wprawiała go w oszołomienie.

Miałby od razu syna.

Rozmawiali kilkakrotnie z Felicity o posiadaniu dzieci, ale z góry zrezygnowali z tego pomysłu. Żadne z nich nie miało na dzieci czasu.

Abbey... powinna po prostu zająć się synkiem.

Na pewno by jej to odpowiadało. Raz w życiu poczułaby, że ktoś się nią opiekuje.

Ciekawe tylko, czy będzie jej się podobało w Nowym Jorku?

Ogarnęły go wątpliwości, ale starał się ich od razu pozbyć.

Nie ma rzeczy niemożliwych.

Abbey da się chyba przekonać. Powinno to pójść dość łatwo.

Przedtem jednak należy odbyć rozmowę z Felicity.

Musi wytłumaczyć jej, że straszliwie się pomylił.

## ***ROZDZIAŁ DZIESIĄTY***

- Chyba sobie żartujesz!

Tak właśnie zareagowała Abbey na propozycję małżeństwa, którą złożył jej Ryan. Może rzeczywiście sobie na to zasłużyłem, myślał potem.

Oświadczył jej się w oborze. Przyjechał wieczorem, spodziewając się zastać ją w domu, Abbey jednak nie było. Podziękowała już farmerom za pomoc i gdy Ryan nadszedł, doiła właśnie trzynastą krowę. Jack zaś, który odmówił pójścia spać, bawił się w najlepsze w kacie.

- Czego chcesz? - spytała Abbey.

Wejście Ryana wywołało popłoch wśród krów, co utrudniło jej bardzo dojenie. Odpowiedział jej natychmiast:

- Nie ożenię się z Felicity. Chcę tylko ciebie.

Pewnie zabrzmiało to zbyt obcesowo, sam to zresztą potem zrozumiał, i Abbey przyjęła jego propozycję bez entuzjazmu.

- Chyba sobie żartujesz! - Poklepała krowę po zadzie i doiła dalej. - Zostań tam, gdzie jesteś- rozkazała, widząc, że chce bliżej do niej podejść. - Moje dziewczyny nie znoszą obcych. No, to teraz mi opowiedz, co zrobiłeś z tą swoją Felicity.

- Nic specjalnego z nią nie zrobiłem, ale ona nie jest już moja. Wyjechała. Powiedz mi, czy mogłabyś zostawić na chwilę te swoje krowy?

- Zaraz skończę. Doję już trzynastą. - Uśmiechnęła się i tylko ona wiedziała, ile kosztuje ją zachowanie spokoju. - Idź może i zaparz nam przez ten czas herbatę.

- Ależ ja muszę z tobą porozmawiać! Chcę się z tobą ożenić. Uniosła oczy i patrzyła na niego przez chwilę, a potem westchnęła.

- Coś mi się wydaje, że to nieprawda. - Wstała i wylała mleko z wiadra do bańki.

Ryan czekał.

Obydwoje milczeli.

Abbey przywiązała następną krowę i znowu westchnęła.

- Powiedziałam ci już, żebyś zaparzył herbatę. Przyjdę za piętnaście minut.

Odwróciła się od niego i zaczęła doić czternastą krowę. Zachowanie spokoju kosztowało ją wiele wysiłku. Ryan powiedział przecież wyraźnie, że jej chce, i słowa te ciągle dźwięczały w jej uszach. Wiedziała przy tym, że to prawda. Wtedy wieczorem nie ulegało to dla niej także żadnej wątpliwości. Obydwoje czuli po prostu pożądanie. Zwyczajne pożądanie.

I tylko tyle. Nic więcej.

A jednak dla Ryana musiało to znaczyć coś więcej. Wysłał dziś Felicity do domu...

Biedna Felicity.

Abbey zerknęła na Jacka. Przyniosła mu przed chwilą całe wiaderko błota, włożyła na gołe ciało jedynie majteczki i chłopczyk był całkowicie pochłonięty zabawą.

Życie w Szafirowej Zatoce niewiele ma wspólnego z życiem w Nowym Jorku, pomyślała z przerażeniem, patrząc na synka. A Ryan właśnie prosił, by wyszła za niego za mąż.



Była w nim zakochana bez pamięci, ale o małżeństwie nigdy przedtem nie myślała. Małżeństwo z Ryanem nie wchodziło w rachubę. Mogła o nim tylko śnić - albo marzyć. Nic więcej. Teraz jednak stało się niespodziewanie realne. Związana z nim jednak była konieczność przeprowadzki do Nowego Jorku, a więc życie z dala od Szafirowej Zatoki.

Nie. Po stokroć nie. Na to się nigdy nie zgodzę.

Choć przecież małżeństwo z Ryanem oznaczało połączenie się dwóch połówek, które dopiero razem tworzą całość. O niczym w życiu bardziej nie marzyłam, myślała. Tylko że...

Nic na to nie poradzę! Nie mogę wyjść za niego. Samotna i niezależna Abbey mogłaby to zrobić, ja jednak jestem matką Jacka, synową Janet i jedynym lekarzem w Szafirowej Zatoce. Jestem w dodatku wdową po Johnie i mam w związku z tym masę długów do spłacenia.

Abbey więc nadal doła krowę i walczyła ze łzami, które napłynęły jej do oczu.

- Abbey, musisz wyjść za mnie - usłyszała, wchodząc do kuchni.

Nie widziała jeszcze takiego Ryana. Najwyraźniej wytracony z równowagi zdawał się ogarnięty jedną tylko myślą.

Abbey musi wyjść za mnie...

Gdy wrócił do domu po swej ostatniej wizycie na plaży, zastał Felicity chodzącą nerwowo po pokoju.

- Byłeś gdzieś z tą dziewczyną? - powitała go z gniewem.

- Nie, byłem...

Nie słuchała go, złapała za to jego przenośny komputer - jego, nie swój - i rzuciła w niego. Nie trafiła jednak; komputer uderzył w ścianę i roztrzaskał się.

- Straciłam przez ciebie dwa tygodnie - warknęła. - Powinnam właściwie wnieść przeciwko tobie skargę.

- Chwileczkę! Połowę tego czasu spędziłaś na Hawajach.

- Szkoda, że tam nie zostałam. Czy wiesz, ile ważnych spotkań opuściłam? I to wszystko przez ciebie! Mam tego wszystkiego po dziurki w nosie. Sama sobie się dziwię, że znosiłam to wszystko cierpliwie. Ten twój tatuś, do tego szpital od siedmiu boleści, w którym zachciało ci się przeprowadzać operacje, a na dobitek te przekłete krowy, które postanowiłeś doić...

Mam tego dosyć! I nawet nie interesuje mnie, czy włóczyłeś się z tą dziewczyną, czy nie. To istny dom wariatów i nie zostanę tu ani chwili dłużej. A zresztą jutro po południu mam ważną konferencję w Nowym Jorku. Wyjeżdżam więc - oznajmiła nieco już łagodniej, a po chwili wahania zdjęła z palca pierścioneł zaręczynowy. - Chyba nie chcesz, żebym go zabierała?

- Felicity...

- Ja w każdym razie nie chcę go - zdecydowała, wsuwając Ryanowi pierścioneł do ręki. - Posłuchaj, chciałam zostać twoją żoną, bo wiedziałam, że dążysz śmiało do celu, ale teraz najwyraźniej sam nie wiesz, czego chcesz. Żegnaj więc - dodała, całując go w czoło. - Mam nadzieję, że uszkodziłam ci twardeł dysk.

I tak to się skończyło.

Ryan zaś pochłonięty był jedną tylko myślą: Nareszcie mogę porozmawiać z Abbey...

I teraz wreszcie miał ją przed sobą. Stała w drzwiach kuchni z synkiem na ręku, w zabłoconych kaloszach i brudnych spodniach. On zaś w kółko powtarzał:

- Musisz wyjść za mnie za mąż.

Nie odpowiedziała, tylko wręczyła mu dziecko.

- Wykap go, a ja przez ten czas wezmę prysznic i przygotuję na kolację omlet.

Umycie Jacka nie było takie proste. Wodę w wannie trzykrotnie zmieniał, gdyż za każdym razem była czarna, a potem Jack tak się rozbawił, że po kąpieli

za nic nie chciał się ubrać. Ryan dał w końcu za wygraną i wszedł do kuchni z golutkim chłopczykiem na ręce.

- Potrzebna nam mama - oznajmił.

Abbey wzięła już zimny prysznic, mając nadzieję, że ją to trochę uspokoi. Przeliczyła się jednak. Nigdy nie była jeszcze tak zdenerwowana i podniecona. Wzięła Jacka od Ryana i pokazała mu jajka na stole.

- Jeśli nie jesteś w stanie włożyć mu majteczek, to zrób chociaż kolację.

Na twarzy Ryana odmalowało się zdziwienie.

- Ależ ja nie umiem gotować!

- A to dlaczego?

- Zawsze miałem gosposię.

- A czy będziemy mieli gosposię, jeśli wyjdę za ciebie za męża?

- Myślę, że tak... Oczywiście, że tak. Pani O'Hara będzie mogła zająć się też Jackiem.

- Przez ten czas, kiedy ja będę w pracy?

- Posłuchaj, nie mam pojęcia, jak załatwia się nostryfikację dyplomu w Stanach. Zobaczymy dopiero, czy będziesz musiała zdawać jakieś egzaminy, czy nie. Tylko że ty już chyba dosyć się napracowałaś... Mogłabyś nareszcie odpocząć.

- Nie umiałabym chyba - wyznała, tuląc do siebie Jacka. - Chcę jeszcze o coś zapytać. Dziś rano byłeś zaręczony z Felicity?

- Tak, ale...

- Ale teraz już nie jesteś z nią zaręczony?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo się nie kochamy. - Ryan miał wielką ochotę przytulić Abbey do siebie, wziąć ją w ramiona, poczuć ją blisko siebie...

- To znaczy, że dziś rano doszedłeś po prostu do przekonania, że jej nie kochasz?

- Nie, to nie tak. Myśmy się po prostu nigdy nie kochali. Z pewnością podziwialiśmy się nawzajem i szanowali. Wiedziałem, że będę dumny móc nazwać Felicity swoją żoną, a ona myślała to samo o mnie. Wiedzieliśmy, że po ślubie nie będziemy sobie przeszkadzać, bo mamy podobny styl życia.

- A teraz?

- Teraz już wiem, że to za mało - oświadczył. - Chcę ciebie.

- Aha. Zapadła cisza.

Abbey pochyliła się nad kozetką, włożyła Jackowi majteczki i postawiła go na podłodze. Chłopczyk wyszedł na werandę, a potem podreptał w stronę kurnika. Nad górami pokazało się zachodzące słońce.

- Czy rzeczywiście chcesz się ze mną ożenić? - zapytała, stając w progu werandy.

Podszedł do niej i położył ręce na jej ramionach. Było to cudowne uczucie...

- Wiem, że nie chcesz tu zostać - wyszeptała.

- Oczywiście, że nie. Przecież w ciągu tygodnia w Nowym Jorku zarabiam więcej niż ty tutaj przez rok. Będziemy się mogli świetnie utrzymać z mojej pensji. Jack będzie chodził do najlepszych szkół i miał wszystko, czego tylko zapragnie. - Odwrócił ją twarzą do siebie. - Będziemy mieli więcej dzieci... Kocham cię i myślę, że zawsze cię kochałem. Nie chciałem stąd wyjeżdżać, ale skoro już wyjechałem, powinienem był dawno temu wrócić. Nie zdawałem sobie sprawy, że zostawiłem tu coś tak cennego...

- A teraz już sobie zdajesz sprawę i chcesz ten skarb zabrać do Nowego Jorku?

Nachylił się, aby ją pocałować, ona jednak odepchnęła go od siebie, miała ochotę płakać. Muszę mu jednak powiedzieć całą prawdę, pomyślała. Powinien wreszcie zrozumieć, że jestem matką Jacka i synową Janet, a także jedynym lekarzem w Szafirowej Zatoce.

- Posłuchaj mnie - poprosiła. - Mówiąc o Felicity, wspomniałeś, że odpowiada jej podobny do twojego tryb życia. Są rzeczy ważniejsze w małżeństwie, ale to jednak także ważna sprawa.

- Wszystko się ułoży, zobaczysz - rzekł półgłosem i próbował przyciągnąć ją do siebie.

- Pewnie masz rację - wyszeptała. - Pewnie bym się przystosowała do twojego trybu życia, tylko że nie byłabym wtedy szczęśliwa. Wątpię też, żebyś ty potrafił przystosować się do mojego.

- Ależ kochanie... - Szukał słów, które mogłyby ją przekonać. - Nie możesz dłużej tak żyć, tak ciężko pracując, i w dodatku tonąc po uszy w długach.

- Masz rację, ale nie będę też w stanie żyć tak, jak mi proponujesz, w bogactwie i nieróbstwie.

- Chcę się tobą zaopiekować.

- Ale ja już nie jestem dzieckiem - oznajmiła, wysuwając się z jego objęć.  
- Mam dwadzieścia osiem lat, jestem lekarzem i... ludzie mnie tu potrzebują. Potrzebna jestem Jackowi, Janet i Samowi, a także całej Zatoce. Nie zamierzam ich opuścić. A poza tym... wydaje mi się, że Jack nie powinien stąd wyjeżdżać. Mieszka tu jego babcia, żyją jeszcze ludzie, którzy znali i kochali jego ojca. Gdybym go zabrała do Nowego Jorku, odebrałabym mu pamięć o ojcu. Nie mogę tego zrobić.

- Abbey...

- Proszę cię, Ryan, nie mówmy już o tym - odezwała się martwym głosem. - Kocham cię - wyznała, patrząc na niego oczami mokrymi od łez - kocham cię nade wszystko w świecie, muszę jednak tu zostać. W dodatku... dopiero co spotkałam przecież żółwicę.

Stała przed nim bezbronna i przerażona.

Nie mogę jej przecież tak zostawić, krzychało w nim coś.

I zanim zdołała zaprotestować, wziął ją w ramiona i trzymał mocno, tuląc do siebie z całych sił. Całował delikatnie jej włosy, pilnując, by nie spojrzeć jej w oczy, usiłując zapanować nad sobą.

- Proszę cię, Ryan, nie...

- Posłuchaj! Wszystko da się załatwić. Weźmiemy Janet i oczywiście Jacka. Obiecuję ci też, że będziemy tu przyjeżdżać co roku na miesiąc.

Delikatnie gładził jej plecy i tulił z taką czułością, że omal nie wypowiedziała oczekiwanego przez niego słowa „tak”.

Nie wolno jej jednak było go wymówić.

Dotykała twarzą koszuli Ryana, słyszała bijące mocno serce i wiedziała, że tu właśnie jest jej dom. Nowy Jork wydawał jej się obcym światem.

Po jej wyjeździe szpital zostałby zamknięty, Samowi pękłoby chyba z żalu serce, a Janet, która z pewnością odmówi wyjazdu do Stanów, pędziłaby samotny żywot. Jack nie mógłby chodzić na bosaka i taplać się w błocie ani wyruszyć na poszukiwanie żółwi, gdy dorośnie.

Żółwie!

Już wkrótce wylęgną się, aby odbyć wędrówkę do morza. Całe miasto będzie im przy tym towarzyszyć. Pójdę tam razem z Jackiem, aby zapomnieć choć na chwilę o ciężkiej pracy i ubóstwie. To będzie moja nagroda, pomyślała.

Ryan mówił, że przez tydzień zarabia więcej niż ja przez rok. No i co z tego? Czy nagrodę, na którą czekam, da się przeliczyć na dolary? Pozostanie w Szafirowej Zatoce zapewnia Jackowi posiadanie korzeni, Janet zaś i Samowi obecność bliskich na starość.

- Nie mogę wyjść za ciebie - wyszeptała ze smutkiem. Koszula Ryana tłumiała jej głos i musiał się nachylić, aby ją słyszeć. - Nie mogę wyjść za ciebie za mąż, bo w Nowym Jorku nie ma żółwi.

Kochał ją tak bardzo, że rozumiał, co miała na myśli.

Doskonale też wiedział, że Abbey nigdy nie zmieni zdania.

## ***ROZDZIAŁ JEDENASTY***

- Przecież ty go kochasz.

Janet stała przy łóżku, opierając się na balkoniku. Od operacji minął już tydzień, a rekonwalescencja przebiegała znakomicie. Janet uczyła się chodzić pomiędzy założonymi przez Ryana poręczami na korytarzu.

- Nie myśl sobie, że nie wiem, co cię dręczy - mówiła teraz, patrząc na synową oczami pełnymi niepokoju. - Codziennie masz bardziej zapadnięte oczy. I nie ma to nic wspólnego ze zmęczeniem. Nigdy jeszcze nie byłaś tak wypoczęta...

- Niepokoję się o ciebie - oznajmiła Abbey nieco zaczepnym tonem.

- Chyba nie masz na myśli mojej nogi? Za parę tygodni zapomnę o operacji. Mam też nadzieję, że nie zaprzątasz sobie głowy rozmyślaniami, co się ze mną stanie, jeśli wyjdiesz za Ryana?

Abbey zaczerwieniła się.

- Ja wcale...

- Co wcale? Przecież ta jego narzeczona go opuściła i wyjechała z powrotem do Stanów. Ryan chyba nie jest z tego powodu nieszczęśliwy, a w dodatku nie spuszcza z ciebie oczu. Czy ci się nie oświadczył? - Spojrzała na synową i zmarszczyła czoło. - Widzę, że tak, a ty mu odmówiłaś, ale, na litość boską, dlaczego? Już prawie dwa lata minęły od śmierci Johna, a jeśli ja, jego matka, mówię ci, że już czas, żebyś ułożyła sobie życie od nowa, to chyba rzeczywiście nadeszła na to pora. Widzę, że kochasz Ryana, dlaczego więc się nie zgadzasz?

Przez dłuższą chwilę Abbey milczała.

- Nie mam wyjścia - powiedziała w końcu. - Ryan chce, żebym pełniła w Nowym Jorku rolę żony lekarza, a to przecież niemożliwe. - Zagryzła wargi. - Ja też jestem lekarzem i wiele trudu mnie kosztowało, żeby nim zostać.

- Czy tu, czy za oceanem, będziesz przecież zawsze sobą. Tyle że w Nowym Jorku będziesz miała Ryana.

- Niestety nie - pokręciła głową Abbey. - Ryan nie ma pojęcia, czy uda mi się nostryfikować dyplom, czy będę mogła pracować. On w dodatku nawet nie rozumie, jakie to ważne.

- A czy to jest naprawdę ważne?

- Wiesz sama, że tak. Pomyśl tylko, ile wysiłku kosztowało zbudowanie tego szpitala. Cała Zatoka go potrzebuje. Nie mogę ot, tak po prostu sobie wyjechać.

- Nawet z Ryanem?

- Bardzo go kocham, ale liczą się także inne sprawy. Jack musiałby opuścić ludzi, którzy go kochają. - Podeszła do okna, a potem odwróciła się gwałtownie do Janet. - Ryan mówi, że mogłabyś pojechać z nami...

- Co? Ja do Nowego Jorku? - Twarz Janet wyrażała bezbrzeżne zdumienie. - Chyba żartujesz! Urodziłam się w Szafirowej Zatoce i tu umrę. Na myśl o dużym mieście przechodzą mnie ciarki.

- To zupełnie jak mnie. - Abbey próbowała się uśmiechnąć. - Sama więc widzisz, że to niemożliwe.

- Ale serce ci pęka, gdy myślisz o rozłące z nim.

- Śmierć Johna złamała mi serce, ale minęły dwa lata, a ja rozważam poślubienie innego człowieka. Życie toczy się dalej i nie ma na to rady. - Abbey podeszła do drzwi i otworzyła je szeroko na korytarz. - Dostyc już gadania. Musisz teraz trochę pochodzić po korytarzu. Nie zapominaj, że kiedy wszystko zawiedzie, zostaje jeszcze praca.

I Jack! - pomyślała Abbey, pomagając Janet wraz z Eileen w wykonywaniu ćwiczeń. Mam jeszcze Jacka, mojego cudownego, jedyne go synka. Mam też Janet...

Dlaczego więc smutek nie opuszcza jej nawet na chwilę?

- Czuję, że jesteś zakochany w Abbey Wittner!



Sam Henry, który wkładał właśnie drugą skarpetkę, przerwał na chwilę to zajęcie i przyjrzał się uważnie synowi.

- Nie mam racji? Sam powiedz, synu.

- Posłuchaj, tato, jeśli chcesz, żebym ci pokazał gniazdo żółwi, to porozmawiajmy o czym innym. Bo cię zostawię samego!

- Tak jak zrobiliście to z matką siedemnaście lat temu?

- Tato...

- Twoja matka nie chciała się nigdy w nic angażować -ciągnął starszy pan.  
- Dlatego nie zносиła Szafirowej Zatoki.

Sam włożył buty i wyciągnął rękę do Ryana. Czuł się dość dobrze, tyle że się łatwo męczył i miał słabe nogi. Dziś po raz pierwszy wybierał się na spacer z synem.

- Chcesz się z nią ożenić?

- Tato...

- Nic ci z tego nie przyjdzie, jeśli będziesz mi sugerował, żebym pilnował własnego nosa - stwierdził Sam, wstając. - No więc myślisz o ślubie z Abbey. To naprawdę wspaniała dziewczyna.

- Wiem. - Ryan czuł się dziwnie. Pierwszy raz rozmawiał z ojcem o swych osobistych sprawach i sprawiało mu to wyraźną przyjemność. - Poprosiłem ją, żeby wyszła za mnie za mąż.

Sam rozjaśnił się na twarzy.

- Tylko że ona się nie zgodziła.

- Ależ dlaczego? Janet mi mówiła, że ona świata za tobą nie widzi.

- Powiedziała, że nie wyjdzie za mnie.

- Może potrzeba jej trochę czasu, żeby się przyzwycząić do tej myśli? To byłoby cudowne. Coś ci powiem... Kupię sobie domek bliżej plaży, a wy będziecie mogli tu zamieszkać. Dla mnie ten dom jest za duży; a wam się przyda, jak będziecie mieli jeszcze dzieci...

Ryan pokręcił głową.

- Tato, dziękuję bardzo... Tylko widzisz, nawet gdyby Abbey chciała za mnie wyjść, nie moglibyśmy tu mieszkać.

Zapadło milczenie.

- Dlaczego? - spytał Sam bezbarwnym głosem.

- Ja przecież mam pracę w Nowym Jorku - wybuchnął Ryan. - Nie zapominaj o moich obowiązkach.

- Abbey jest w podobnej sytuacji.

- Ale jaka to praca? Wiesz sam, że dostaje grosze.

- Może jej to wystarcza. - Sam z trudem dobierał słowa.

- Przecież to niemożliwe! Zapracowuje się na śmierć i nic z tego nie ma.

A ja chcę się nią zaopiekować, uwolnić ją od tego wszystkiego.

- Tylko że Abbey kocha „to wszystko” - szepnął Sam. - Ty też powinienes „to wszystko” kochać. Urodziłeś się tu i tu są twoje korzenie.

Ryan popatrzył na ojca zdumiony.

- Naprawdę uważasz, że powinienem tu wrócić?

- Jeżeli ci zależy na Abbey.

- Jeżeli Abbey mnie kocha, to powinna jechać ze mną.

- Kiedy Abbey nie jest egoistką.

- Egoistką? - zdumiał się Ryan.

- Zostaliście dla siebie stworzeni, to zawsze było widać. Gdy Abbey była nie większa od krasnoludka, już wtedy stanowiła drugą połowę ciebie, tylko że ona nie zechce porzucić swoich obowiązków, a tobie nie wolno jej do tego zmuszać.

- Przecież Szafirowa Zatoka nie ma jej na własność.

- To prawda. - Sam popatrzył na syna oczami, z których wycierał smutek.

- Ale ona także nie jest i nigdy nie będzie twoją własnością.

- Wcale nie chcę jej mieć na własność.

- A jak to sobie w takim razie wyobrażasz? Kiedy zabierzesz ją do Nowego Jorku, będzie miała jedynie ciebie. Będzie całkowicie od ciebie

zależna, od ciebie wyłącznie będzie zależało jej szczęście. A ty? Czy ty będziesz od niej zależny? Założę się, że nie zamierzasz ani trochę ograniczyć swoich obowiązków.

- Ale ja nie mogę...

- Więc nie zamierzasz niczego zmienić w swoim życiu, ale za to czekasz, że Abbey się do ciebie dostosuje? - spytał Sam.

- Inne kobiety godzą się na podobną sytuację.

- Tylko że Abbey nie przypomina w niczym tych „innych kobiet” - zauważył Sam podniesionym głosem i usiadł na łóżku. - Jeśli ci odpowiadają „inne kobiety”, to ożeń się z jedną z nich. Jeśli zaś chcesz Abbey, to uważam, że powinienes ją wziąć taką, jaka jest. To dziewczyna o wielkim sercu, które nie dopuszcza nawet myśli o pozostawieniu nas samych.

Sam patrzył przed siebie pustym wzrokiem.

- Jestem bardzo zmęczony - dodał łamiącym się głosem. - Nigdzie już dzisiaj się nie wybiorę. Pojedź sam, usiądź na brzegu morza i zastanów się, czy ty w ogóle wiesz, co to znaczy miłość.

## ***ROZDZIAŁ DWUNASTY***

Nadeszły najsmutniejsze dni w życiu Abbey.

Powinna być właściwie zadowolona, tyle problemów udało się przecież rozwiązać. Pod koniec tygodnia Janet potrafiła już bez niczyjej pomocy przejść z jednego końca korytarza na drugi.

Sam Henry opuścił szpital. Ryan odwiózł go na farmę i Abbey prawie ich teraz nie widywała.

- Gdyby coś się działo, na pewno daliby znać - pocieszał ją w piątek wieczorem Steve Pryor. - Dlaczego jednak tam nie wpadniesz?

Przez ostatni tydzień Steve pomagał Abbey w szpitalu i współpraca doskonale im się układała. Mając Steve'a do pomocy, mogłaby bez trudu odwiedzić Sama, było jednak ryzyko, że spotka wtedy Ryana.

Nie chcę! - zdecydowała. Nie chcę go widzieć na oczy.

- Czy masz na jutro jakieś plany? - spytał ją Steve.

- Nie - odpowiedziała. - Mogę jutro pracować, bo Marcia jest wolna i chętnie się zajmie Jackiem.

- To może mógłbym cię prosić, żebyś zajęła się rano przychodnią? - Steve zrobił się nagle purpurowy. - Widzisz, chciałem, to znaczy Caroline i ja...

Pielęgniarka pełniąca nocne dyżury, młoda i ładniutka dziewczyna, miała na imię właśnie Caroline.

- Wybieracie się gdzieś? - spytała z uśmiechem.

- Chcieliśmy iść na plażę. Ja rzadko pływam, ale Caroline... Caroline robi widać, co może, żeby tego mola książkowego przywrócić światu, pomyślała Abbey. Kto wie, może coś z tego wyniknie? Steve Pryor ma pozostać w Szafirowej Zatoce do końca przyszłego tygodnia, jest więc jeszcze trochę czasu.

- Co ci jest? - spytał cicho Steve, widząc smutek na twarzy Abbey. - Jesteś taka przygnębiona.

- Ależ nie... - Próbowwała się uśmiechnąć. - Tak sobie tylko myślę, że młodzięcza miłość to piękna rzecz... Oczywiście, możesz wziąć wolny dzień. Przyjdiesz za to w niedzielę.

- Dzięki! - Steve cmoknął ją w policzek. - Nie powinnaś chyba mówić o młodzięczej miłości jak o czymś, co ciebie zupełnie nie dotyczy. - Uśmiechnął się. - Nie jesteś przecież siwowłosą damą.

- Jestem wdową...

- Ale Ryan właśnie stracił narzeczoną.

- Steve...

- Wiem, wiem... - Podniósł obie ręce do góry. - Jesteście tylko dobrymi przyjaciółmi. Nic więcej już nie powiem.

Roześmiał się i wyszedł, przepełniony szczęściem, którym chciał się podzielić z całym światem.

Abbey także była zakochana, tylko że... tylko że nie widziała przed sobą żadnej przyszłości. Ryan wyjedzie za tydzień do Nowego Jorku i życie Abbey ma potoczyć się znowu zwykłą koleją. Tak jak trzy tygodnie temu.

Nie czuła nawet potrzeby pożegnania się z Ryanem i wiedziała, że może go już nie zobaczyć przed wyjazdem.

Wszystko potoczyło się oczywiście inaczej.

Wieczorem zadzwonił Ryan. Chciał się z nią zobaczyć. Zaciśnęła mocno powieki i odpowiedziała, że jest bardzo zajęta. Gdy odkładała słuchawkę, czuła, jak serce pęka jej z żalu. Wybuchnęła płaczem i długo nie mogła się uspokoić.

Leżała potem całą noc z otwartymi oczami, wiedząc, że znalazła się w sytuacji bez wyjścia. W żaden sposób nie mogła przyjąć propozycji Ryana, ale też nie wyobrażała sobie, by mogła jego propozycję naprawdę odrzucić. Czym byłoby jej życie bez niego?

W sobotę rano pacjenci, których przyjmowała w przychodni przyszpitalnej, opowiadali sobie, że coś niedobrego dzieje się z doktor Wittner.

Poruszała się jak automat, miała posępną twarz i czasem zdawała się nieobecna myślami.

Prawie wszyscy domyślali się przyczyny, wkrótce więc rozdzwoniły się telefony. Przekazywano sobie wiadomości, naradzano się. Abbey także odebrała telefon, tyle że nie mający nic wspólnego z jej osobistymi sprawami. Była wtedy w pokoju pielęgniarek.

Dzwonił Rod z budki ratowników na plaży.

- Pani doktor, proszę jak najszybciej przyjechać. Jacyś kretyni na skuterach wodnych wjechali w tłum kąpiących się. Mamy trzy osoby ciężko ranne: dwoje dzieci i doktora Pryora.

Abbey na chwilę zaniemówiła. Wokół kąpieliska zakazane było jeżdżenie na tych pojazdach, skutki zderzenia z nimi bywały bowiem tragiczne.

- Już jadę. Pamiętaj o założeniu opatrunku uciskowego na rany. - Odłożyła słuchawkę. - Wezwij natychmiast karetkę -zwróciła się do Eileen. - Na plaży jest trójka rannych. Wjechał na nich skuter wodny. Rod jest przerażony, co mu się zwykle nie zdarza. Niech wezmą z sobą jak najwięcej plazmy. Wezwij też pogotowie lotnicze z Cairns i helikopter. Sama też przyjedź, gdyby ci się tylko udało znaleźć zastępstwo. Zadzwoń też... do doktora Henry'ego - poprosiła. - Czuję, że sami sobie nie poradzimy.

Jadąc na plażę, łudziła się, że niepotrzebnie wpadła w panikę.

Zatrzymała samochód możliwie jak najbliżej plaży, chwyciła torbę i pobiegła, nie myśląc w ogóle o swoim chorym kolanie. Nikt się nie kąpał, co jak na upalną sobotę było dosyć dziwne. Na plaży skupiły się za to grupki przerażonych ludzi.

- Abbey! - rozległo się wołanie Roda. - Abbey! Tutaj!

Rozejrzała się bezradnie dokoła. Widziała wszędzie tylko krew, łyzy, strach i przerażenie. Trzęsące się ze strachu dzieci i szlochające kobiety. Ustalanie kolejności udzielania pomocy okazało się w tych warunkach zupełnie

niemożliwe. Pobiegła więc na wezwanie Roda i w jednej chwili zrozumiała, że człowiek, nad którym się pochylał, z pewnością jest w najgorszym stanie.

Był to Steve. Jego noga była rozcięta do kości i tryskała z niej jasna krew tętnicza.

- Nie potrafię zatrzymać krwotoku. Pomóż mi! - gorączkował się Rod, na próżno szukając miejsca, z którego wypływała krew.

- Potrzebne mi są ręczniki! - rzuciła Abbey, chwytając jednocześnie ręcznik, który zwisał z ręki jednego z gapiów. Zwinęła go w kostkę, przyłożyła do rany i nacisnęła z całej siły. - Rod! - zawołała. - Owiń ręcznikiem górę nogi. Tylko szybko! A ty, Don - krzyknęła w stronę korpulentnego jegomościa, który był właścicielem pubu - zbierz kilka ręczników i podłóż Steve'owi pod biodra. Podsyp tam też trochę piasku. Nogi trzeba unieść powyżej serca.

W tej samej chwili zaparkował na plaży samochód, wnosząc za sobą tumany piasku. Ryan więc także wyprzedził karetkę pogotowia. Nie jestem już sama, pomyślała z radością. Lecz gdzie, u licha, jest karetka? Potrzebujemy przecież plazmy. Steve stracił już wiele krwi!

- Jeszcze dwie osoby są ciężko ranne, musiałam się jednak od razu zająć Steve'em - wyjaśniła, gdy tylko Ryan podbiegł do nich.

- Ranna jest Leith Kinley - dodał Rod. - Została przy niej Caroline. Chyba jest z nią niedobrze; nie ma czucia w nogach.

Ryan westchnął ciężko i bez słowa podszedł do Leith, która leżała kilka metrów dalej. Leith Kinley, mała astmatyczka, która jeszcze tak niedawno z zapalem uczyła się pływać...

Rozmyślenia przerwała mu syrena karetki pogotowia, która jechała w towarzystwie samochodu policyjnego i wozu strażackiego. Razem z nimi przyjechała samochodem szpitalnym Eileen. Steve mógł nareszcie dostać plazmę i tylko ona mogła uratować mu życie. Abbey zajęła się teraz przetaczaniem plazmy i wkrótce krwotok ustał.

Odetchnęła z ulgą, usiadła na piasku i próbowała zebrać myśli. Nie było już krwawienia. Opaskę uciskową trzeba rozluźnić co kilka minut, aby umożliwić przepływ krwi, a jednocześnie za pomocą opatrunku powstrzymać krwotok. Steve otrzymywał teraz plazmę i płyny dożylnie, a także adrenalinę przeciwdziałającą szokowi. Tętno było nitkowate, lecz wyczuwalne. Wiadomo już, że Steve będzie żył. Potrzebował teraz tylko chirurga, który zoperuje udo.

- Wszystko będzie dobrze - wyszeptała Abbey, widząc, że powieki Steve'a drgnęły. Uścisnęła go przy tym mocno za rękę.

- To prawdziwy bohater - wtrącił Don, który zbudował dla Steve'a oparcie z ręczników, tak że nogi rannego umieszczone były pod kątem trzydziestu stopni w stosunku do tułowia. - Wyobraź sobie, że on uratował dwoje dzieci.

- W jaki sposób? - spytała Abbey, umocowując taśmą opatrunek z ręczników na nodze Steve'a, aby zapobiec w ten sposób ich rozluźnieniu w drodze do Cairns.

- Popisywał się tu taki smarkacz na skuterze wodnym - odparł Don, rozglądając się wokół, jakby miał nadzieję gdzieś go jeszcze dostrzec. - Jeździł poza kąpieliskiem ograniczonym sieciami. No i stało się to, co stać się musiało. Coś go ukąsiło, a on wpadł w panikę, bo wydało mu się, że to drapieżna meduza. Skierował się w stronę plaży, zapominając o sieciach. Zaplątał się w nie, a potem jakoś się z nich wyrwał, wpadając na grupę dzieci. Steve przewidział, co będzie, i rzucił się przed siebie, żeby usunąć dzieciaki z drogi - ciągnął Don. - Gdyby nie on, myślę, że kilkoro dzieci już by nie żyło.

- Tylko że sam został ranny, a gdy Caroline próbowała mu zatrzymać krwotok, kazał jej natychmiast zająć się Leith - dodał Rod, wycierając zakrwawioną rękę ręcznikiem. Skończył właśnie zakładanie opaski uciskowej na nodze Steve'a.

- Leith - wyszeptał Steve. - Co z Leith?

- Jest z nią Ryan - uspokoiła go Abbey.

- Idź do niej, zaraz...



Leith była przytomna i niemal nie krwawiła, lecz Abbey wystarczył wyraz twarzy Ryana, by zrozumieć, że sytuacja jest poważna.

- Ryan?

Nie zareagował, zajęty wstrzykiwaniem morfiny dziewczynce. Dał przy tym znać oczami Caroline, aby trzymała Leith za rękę.

- Tylko leż spokojnie - mówił cicho. - Za chwilę nic cię nie będzie bolało, ale nie możesz się teraz ruszać. Co ze Steve'em? - spytał niespokojnie, gdy już wstał.

- Podłączyłam plazmę, krwawienie ustało i nogę da się uratować. Będzie jednak chyba musiał pojechać do Brisbane. Za chwilę powinien przylecieć helikopter. Zabiorą go do Cairns, a potem wyślą dalej. A jak Leith?

- Podejrzewam złamanie kręgosłupa.

- Boże...

- Nie jestem pewien, ale nie odzyskała dotychczas władzy w nogach.

Abbey odnalazła jeszcze na plaży dziewczynkę z rozciętą ręką i na koniec chłopca, który spowodował wypadek.

- Pomyślałem sobie, że napadła mnie taka sama meduza co niedawno na tego chłopca - powtarzał w kółko Paul. Chłopiec miał dwanaście lat i był najwyraźniej przerażony. - Ja nie chciałem - powtarzał. - Ja naprawdę nie chciałem...

- Wiem, że nie chciałeś - pocieszała go Abbey, przepełniała ją jednak złość na głupich rodziców, którzy nie mając za grosz wyobraźni, udostępnili chłopcu tak niebezpieczny sprzęt.

Po chwili nadleciał helikopter.

- Leć z nimi! - wołała Abbey, próbując przekrzyczeć huk maszyny.

Steve i Leith ułożeni na noszach byli już gotowi do drogi.

Czy Leith ma porażenie dolnych kończyn, czy to jeszcze coś gorszego? Może Ryan zdoła ją uratować? Nie można nigdy przewidzieć skutków urazów kręgosłupa. Gdyby jednak Ryan...

- Proszę cię, leć z nimi - powtórzyła. Spojrzał na nią i bez słowa wszedł do helikoptera.

## ***ROZDZIAŁ TRZYNASTY***

Ryana nie było pięć dni.

Przez cały ten czas Abbey nie miała nawet czasu usiąść. Życie toczyło się znowu tak, jak przed pojawieniem się Ryana.

Wiadomo już było, że nogę Steve'a da się uratować, ale trzeba będzie dłuższego czasu, by mógł normalnie chodzić. Z Brisbane, gdzie przechodził operację, wróciła właśnie Caroline, która pojechała tam, gdy okazało się, że Steve nie ma rodziny.

- To taki dobry, miły i kochany człowiek - szlochała Caroline w objęciach Abbey. - Gdyby nie on... Przecież te dzieci żyją tylko dzięki niemu.

- Myślę, że ty go po prostu kochasz - zauważyła spokojnie Abbey, a to sprawiło, że Caroline rozszlochała się na dobre.

- Tak, tylko że to wszystko wydarzyło się tak nagle... Znamy się tak krótko, a teraz on jest w Brisbane i może już nigdy go nie spotkam.

- Sama zobaczysz, co Steve będzie ci miał do powiedzenia na ten temat, kiedy poczuje się trochę lepiej - uśmiechnęła się Abbey i od razu spoważniała, przypominając sobie Leith.

- A co z Leith? Czy Ryan się nią zajął?

- Doktor Henry asystował przy operacji - opowiadała Caroline, z trudem starając się zapanować nad sobą. - Prosili go o to. Nikt się nie spodziewał, że Leith będzie jeszcze kiedykolwiek chodziła, ale doktor Henry zna nową technikę operacyjną. Chirurdzy w Brisbane urządzili wideokonferencję z kolegami doktora Henry'ego w Stanach, specjalizującymi się w ortopedii dziecięcej. Wyglądało to tak, jakby naprawdę byli obecni na sali operacyjnej. Być może Leith będzie jeszcze normalnie chodziła.

Przez chwilę Abbey czuła się niesłychanie szczęśliwa. Ryan, taki jakiego znała i kochała, żył dalej. Była z niego tak bardzo dumna. Kochała go nadal i tęskniła do niego nieprzytomnie.

Wszystko to jednak nie miało teraz najmniejszego znaczenia. Oprócz normalnych obowiązków szpitalnych czekały ją sprawy związane z ostatnim wypadkiem na plaży. W szpitalu znajdował się Paul, przywieziony w stanie szoku. Jego rodzice, dobrzy i przyzwoici ludzie, byli w niewiele lepszym stanie. Najlepiej miała się Wendy z raną przedramienia, która była niezwykle dumna ze szwów na swojej ręce.

Abbey prosiła znowu farmerów o pomoc w dojeniu krów, a Marcia siedziała całe dnie z Jackiem. Janet pilnie wykonywała zalecane jej ćwiczenia, odzyskując powoli siły. Gdy Abbey weszła do pokoju teściowej piątego dnia po wypadku, zastała Janet siedzącą na łóżku i trzymającą Sama za rękę. Twarze obydwójga promieniały.

- Może wpadnę później? - zaproponowała Abbey.

- Ależ nie! - Janet zrobiła się purpurowa.

- Chcieliśmy ci coś powiedzieć - zaczął Sam i na jego policzkach także pojawił się rumieniec.

- Zamierzacie się pewnie pobrać? - zgadywała Abbey.

- No właśnie. Janet się zgodziła, ale stawia jeden warunek. Powiedziała, że wyjdzie za mnie, jeśli ty poślubisz Ryana.

- Cieszę się bardzo z waszych projektów, ale odrzucam warunek. Przecież to zupełnie bez sensu.

- To samo i ja jej powiedziałem, ale ona mi wtedy oznajmiła, że nie zostawi cię samej.

- Kiedy ja wcale nie czuję się samotna. Mam przecież synka... Idę teraz ogłosić całemu światu o waszym ślubie.

Tylko że to nie była prawda. Nie widując Ryana, Abbey czuła się straszliwie osamotniona. Gdzie on jest? Nie było go całe pięć dni. Dlaczego do tej pory nie wrócił?

O drugiej w nocy ktoś mocno zapukał do drzwi Abbey.

Kto to może być? - zaczęła się zastanawiać, zapalając nocną lampkę. W razie wypadku ludzie telefonowali, nikt jednak nie odwiedzał jej nigdy w domu. Po chwili wahania podeszła do drzwi i uchyliła je. Gdy dostrzegła Ryana, zrobiła ruch, jakby chciała je zamknąć.

- Abbey!

- Idź sobie! Jestem nie ubrana i nie mogę przyjmować w tym stanie gości.

- Przecież to ja, a nie żaden gość.

- Ryan...

- Wpuść mnie.

- A po co?

- Bo cię kocham.

Abbey nie odpowiedziała. Po chwili znowu wolno uchyliła drzwi. Cóż innego jej pozostawało?

Ryan wpadł do środka z impetem i porwał Abbey w ramiona, całując ją jak oszalały. Nic nie mogła na to poradzić i nawet nie próbowała. Objęła go nawet za szyję, a potem pocałowała. Tulił ją do siebie, coraz goręcej całował. Abbey kręciło się w głowie, czuła, że jest śmiertelnie zakochana i chwilami odnosiła wrażenie, że ulatuje gdzieś wysoko do nieba.

Nie istniało dla niej nic poza Ryanem i jego miłością.

Nie wiadomo jak znaleźli się w jej sypialni. Upadli na łóżko, Ryan zgasił nocną lampkę i pokój zatonał w świetle księżyca.

- Słuchaj - szeptał Ryan. - Musiałaś rzucić na mnie jakiś czar! Przecież ja przez te pięć dni wciąż myślałem tylko o tobie... Jeśli nie chcesz, żebym zupełnie zwariował, musisz za mnie wyjść.

Przytulał ją coraz mocniej, aż zaczęli pragnąć tego samego, a świat wokół napełnił się miłością i pożądaniem dwojga ludzi, którzy zostali dla siebie stworzeni.

Przecież nic z tego nie będzie! - pomyślała Abbey, wysuwając się z jego objęć. Cofnęła trochę głowę i patrzyła mu prosto w oczy. W oczach tych wyczytała prawdziwą miłość. Ale na tym nie kończył się przecież świat. W sąsiednim pokoju spał jej synek, a pięć minut od domu znajdował się szpital, którego istnienie spoczywało na jej barkach.

- Ryan, nie możemy przecież... Nie mogę... - Jej protest przerodził się po chwili w cichy szloch.

- Wręcz przeciwnie, możesz. - Uśmiechnął się do niej, a uśmiech jego sprawił, że serce Abbey zaczęło bić jak oszalałe. - Posłuchaj mnie, przez ostatnie pięć dni wszystko dokładnie przemyślałem. Obrażenia Leith wymagają specjalnej rehabilitacji i od niej właśnie zależy, czy mała będzie chodziła. Gdybym wrócił do Stanów, nie miałbym na to żadnego wpływu.

- Ale...

- W dodatku - przerwał jej - udało mi się spojrzeć na Szafirową Zatokę z najlepszej strony. Pomyśl tylko, Steve nie ma nikogo bliskiego, ale w całej Zatoce nie ma chyba rodziny, która nie wysłałaby mu kwiatów, czekoladek, owoców czy jakichś innych upominków. A dzieci ze szkoły przysłały mu swoje rysunki, które wiszą teraz na ścianach jego szpitalnego pokoju. Steve jest ogromnie wzruszony. Widzisz, on był trochę samotnikiem, dopiero tutaj zdołał zapuścić korzenie. No i dlatego chce tu pracować.

- Niemożliwe! Na stałe?

- Tak. On chce się ożenić z Caroline i zostać.

- Czy chcesz powiedzieć, że dlatego będę mogła stąd wyjechać?

- Ależ nie! - Pocałował ją delikatnie w policzek. - Im dłużej o tym wszystkim myślałem, tym bardziej zaczynałem zazdrościć Steve'owi. Jego decyzja wydała mi się taka słuszna! Postanowił zostać z kobietą, którą pokochał,

zamieszkać wśród wspaniałych ludzi, jacy mieszkają w Zatoce, wychowywać swoje dzieci tam, gdzie będą mogły obserwować żółwie.

- Więc...

- No więc postanowiłem zmienić zupełnie swoje życie. Przyjechałem do ciebie tak późno, bo to najodpowiedniejsza pora na telefon do Stanów.

Porozumiałem się już przedtem ze Steve'em, a teraz rozmawiałem jeszcze z ludźmi, z którymi prowadzę badania w Nowym Jorku - opowiadał, tuląc ją do siebie. - No i zawarłem umowę - oświadczył. - Chcesz poznać szczegóły?

Nie czekając na odpowiedź, pocałował ją i przez chwilę nie było mowy o opowiadaniu czy słuchaniu czegokolwiek.

- Mój plan jest następujący - odezwał się po chwili. Nie dokończył jednak, tylko wpatrzony w Abbey, dotknął palcami jej ust. - Jak ja mogę mówić i myśleć, kiedy jesteś obok mnie?

- Mów już - poprosiła. - Mów, bo inaczej wyleję ci na głowę kubel zimnej wody. Mnie zresztą też by się to przydało.

- Przeprowadzę się tu na stałe. Na chwilę zaniemówiła.

- Ryan - odezwała się niepewnie. - A twoja kariera? Przecież nie możesz tego zrobić. Będziesz się tu czuł tak, jak ja czułabym się w Stanach. Jak ryba bez wody.

Musnął wargami jej włosy.

- Wcale nie. Wszystko już załatwiliśmy. Steve wyraził zainteresowanie kierunkiem moich badań. Jest niesamowicie zdolny, a przy tym młody. Od Cairns, gdzie znajduje się międzynarodowe lotnisko, dzieli nas tylko półtorej godziny drogi, będziemy więc mogli prowadzić nadal pracę naukową. Będę więc pracował ze Steve'em przede wszystkim w Szafirowej Zatoce, a od czasu do czasu także w Cairns lub Brisbane. Dwa razy w roku zobowiązałem się polecieć do Nowego Jorku na dwutygodniowy pobyt w szpitalu, z którym jestem teraz związany...

- Ale... jak to możliwe?

- Świat robi się coraz mniejszy. Mamy do dyspozycji Internet, e-mail i wideokonferencje. Nie chcę jednak rezygnować ze zwykłej praktyki, podobnie zresztą jak Steve. Szafirowa Zatoka będzie więc miała do dyspozycji trzech lekarzy pracujących na pół etatu. I wszyscy będziemy żyli długo i szczęśliwie. - Urwał nagle i spojrzał z niepokojem na Abbey. - Co ty na to? - zapytał. - Czy ci to odpowiada? Czy nie będziesz miała nic przeciwko temu, że cię dwa razy do roku zostawię samą? Powiedz. Jestem gotów rzucić dla ciebie moje badania naukowe.

- Ryan, kochany...

- Powiedz, czy się zgadzasz.

- Pod jednym warunkiem - wyszeptała, patrząc na niego oczami wilgotnymi od łez.

- Jakim?

- Pod warunkiem, że ja i Jack będziemy z tobą jeździli do Nowego Jorku. Bo powiedziane jest, że gdziekolwiek pójdiesz, ja pójdę z tobą.

Ryan przymknął oczy. Była to najszczęśliwsza chwila w jego życiu. Czekał na nią od tak dawna, że trudno było mu uwierzyć, iż stała się jego udziałem.

- Czy chcesz obudzić Jacka? - zapytał niepewnym głosem. - I powiedzieć mu, że ma nowego tatusia?

- Może nie teraz - wyszeptała, zajęta zupełnie czym innym.

## ***ROZDZIAŁ CZTERNASTY***

Miodowy miesiąc Ryana i Abbey przerwany został już pierwszego ranka po nocy poślubnej.

Jackiem zajęli się Janet i Sam, którzy wzięli ślub dwa tygodnie wcześniej. Pieczę nad szpitalem sprawował Steve, który lekko jeszcze utykał, choć był już na najlepszej drodze do pełnego wyzdrowienia.

Wybór miejsca, w którym państwo Henry mieli spędzić miodowy miesiąc, przyszedł im łatwo.

- Przez ciebie musiałem niedawno zrezygnować z podróży poślubnej do „Krainy Szczęścia”, musisz mi to więc teraz wynagrodzić - oświadczył Ryan.

A jego narzeczona nie miała nic przeciwko temu.

Pierwszego ranka Abbey obudziła się dosyć późno. Ryan trzymał ją mocno w ramionach. Miał przy sobie swoją żonę.

Swoją śliczną, kochaną Abbey.

Ich ślub był piękny. W maleńkim kościółku położonym na wzgórzu, z którego roztaczał się widok na Szafirową Zatokę nie brakło nikogo.

Przytulił ją mocniej do siebie i dopiero teraz naprawdę zrozumiał, że Abbey należy do niego na wieki. Nagle zadzwonił telefon. Jakże by mógł nie zadzwonić! Telefony dzwonią przecież w najbardziej nieprzewidzianych i nieodpowiednich chwilach, zwłaszcza gdy się jest lekarzem. Ryan westchnął i podniósł słuchawkę. Słuchając, rozjaśnił się jednak.

- Wstawaj, kochanie - powiedział, całując Abbey. - Zawieszamy nasz miesiąc miodowy na dwie godziny.

- Nie... - jęknęła Abbey.

Znowu jakiś wypadek, pomyślała z rozpaczą. Dlaczego akurat dziś? Ryan jednak promieniał radością.

- Kto dzwonił? - spytała.



- Wylęgają się właśnie nasze żółwie - odparł, siadając na łóżku. - Dla takiego wydarzenia można przerwać nawet miodowy miesiąc.

Na plaży znajdowali się chyba wszyscy mieszkańcy Zatoki.

Nikt nie był w stanie dokładnie przewidzieć godziny, w której zaczną się wylęg. Znaczący mówili, że na wyklucie żółwi potrzeba od pięćdziesięciu czterech do siedemdziesięciu dni. Zorganizowano więc przy jajach dyżury, lecz wydarzenia dzisiejszego dnia były dla wszystkich zaskoczeniem.

Gdy samochód zatrzymał się na plaży, Abbey ze zdumieniem rozejrzała się wokoło. Nie brakowało tu naprawdę nikogo! Dzieci zostały zwolnione z lekcji, zamknięto bank i sklepy.

Nad brzegiem morza stał Steve, trzymając za rękę Caroline. Widać było pacjentów ze szpitala na wózkach i noszach. Ted niósł w ramionach dzieciaka z oddziału pediatrii. Przyszedł także radca prawny, Ian Miller, uśmiechnięty radośnie, wraz z matką. Leith Kinley siedziała na wózku, ale przed czterema dniami wstała już po raz pierwszy i wkrótce miała jechać do Brisbane na intensywną rehabilitację.

Zebrani ustawili się w szeregu, tworząc straż honorową wzdłuż drogi, którą młode żółwki wędrowały z gniazda aż nad brzeg morza. Wychodziły jeden po drugim, maleńkie, o wielkich oczach, żłobiąc sobie drogę w piasku.

Ponad nimi krążyły drapieżne, morskie ptaki, ich śmiertelni wrogowie, węsząc łup. Wojnę ptakom wydały jednak dzieci, które rozrzucały chleb na plaży, aby zaspokajając ich głód, odwrócić uwagę od żółwi.

A ponad drogą, którą żółwie maszerowały, unosiły się różnokolorowe parasolki, dziesiątki parasolek we wszystkich kolorach tęczy, chroniąc maleńkich wędrowców przed atakiem żarłocznych mew. Żółwki zbliżały się kolejno do morza, na chwilę przystawały na brzegu, przestraszone rozbryzgującą się pianą, aby zniknąć zaraz w morskich głębinach.

W tym momencie kończyła się opieka mieszkańców Zatoki nad nimi. Można jednak było mieć nadzieję, że pewnego dnia żółwie powrócą tu śladami swej matki.

Abbey i Ryan patrzyli na to wszystko z góry, stojąc na trawiastym wzgórku. Jack, który przybył na plażę w towarzystwie Janet i Sama, uśmiechnął się promiennie do matki, aby rzucić się zaraz w stronę żółwi, wydając przy tym radosne okrzyki. Oczy Abbey napęłniły się łzami.

- To nasze żółwie - szepnęła do Ryana. - Czy widziałeś kiedyś coś podobnego? Przecież to cud!

- Prawdziwy cud - przytaknął Ryan.

Objął żonę, zatrzymał spojrzenie na synku, a potem przyjrzał się maleńkim, wędrującym do morza stworkom. Wreszcie przytulił Abbey mocno do siebie i pocałował ją gorąco.

- Samo życie jest cudem - wyszeptał.

